EPOKA

TYGODNIK

ROK I | Warszawa, 6 listopada 1932 R. | NR. 6

Na rozstajnych drogach

Dyktatura dekretu

Prawda o Sowietach

Bezrobotni zbliska i zdaleka

Zwycięstwa opieki społecznej

Wydarzenia i dokumenty. Przegląd gospodarczy. Wolna trybuna Listy do „Epoki"

AUTORZY: CZECZELNICKI, LUKREC, WIDZ, RYGIER, ŻYCIEŃSKI, KLOŃSKI, KORNACKI, GRZELKA

R

Cena egz. gr. 60

WYDARZENIA I DOKUMENTY

CZY TO MOŻLIWE?

Prasa brukowa wszelkich barw politycznych w konkurencyjnej pogoni za sensacją zapomina, że nie każda sprawa może być żerem dla motłochu, że są ponure wydarzenia, gdzie obowiązek dziennikarski winien się ograniczyć do suchej wzmianki kronikarskiej.

W 2-ej połowie października z wyroku sądu doraźnego został powieszony w więzieniu Mokotowskiem w Warszawie Walenty Milewski, skazany na karę śmierci za zamordowanie gazeciarki Podleśnej. Jeden z brukowców warszawskich uraczył swych czytelników sążnistym dwustowierszowym opisem „Jak się odbyło stracenie mordercy Milewskiego?". Skryba, zapewne płatny od wiersza, użył sobie przy tak ponętnej okazji na całego: przyrządził swe ohydne danie con amore i podał je smakowicie, nie szczędząc najmniejszych szczegółów tego makabrycznego ceremonjału..

Dowiadujemy się z tegoż opisu, że lekarz więzienny słuchał bicia serca powieszonego, że „dopiero po 15-u minutach lekarz oświadczył, iż powieszony nie żyje".

Czyż więc nieszczęśnik żył *cały kwadrans na szubienicy?*

Ta sprawa wymaga wyjaśnienia czynników kompetentnych, sądowo - lekarskich.

Ale jest w opisie owego reportera inny jeszcze niepokojący moment.

Oto wymieniając osoby, które z obowiązku asystować musiały przy wykonaniu wyroku śmierci, dodaje: *„oraz uczniowie szkoły więziennej"*. Co to znaczy? Czy to możliwe?

Czy reporterzyna poprostu nie zełgał lub nie powtórzył czyjeś plotki?

A jeśli tak było naprawdę — z czyjego polecenia dano tak okrutne widowisko... uczniom szkoły więziennej?

Tym razem gadatliwość redakcyjnego dostawcy sensacji może się stać, mimo zła, jakie wyrządza kulturze moralnej mas, pożyteczna... wbrew jego intencji.

KRZYWE ZWIERCIADŁO

„Nie odczuwam nigdy potrzeby utrwalenia zewnętrznych faktów i wypadków z życia Janka — pisze p. Marja Janowa Kasprowiczowa w swoim *Dzienniku* (cz. I, Warszawa 1932, Wydawnictwo Instytutu Literackiego, str. 398) — chociaż niektóre z nich są dla niego charakterystyczne i nie pozbawione ciekawości (sic!). Do nich należy wiele z jego anegdot i opowiadań z czasów młodości. Lubi wspominać o nich przy kieliszku wina w towarzystwie przyjaciół. Jeden z nich zwłaszcza utkwił mi w pamięci, jako przykład psychofizycznej wrażliwości jego natury. Zdarzyło mu się za czasów gimnazjalnych w Wielkopolsce być w odwiedzinach u kolegi — Żyda. Janek nie był nigdy antysemitą, przeciwnie, jego ówczesne liberalne poglądy wymagały zbliżenia się z tą narodowością. Podano herbatę ze śmietanką — opowiadał Janek — stół był czysto i ładnie nakryty, byli to Żydzi kulturalni, lecz mimo to myśl, że będę zmuszony wypić u nich herbatę i do tego ze śmietanką, budziła we mnie odrazę. Z wysiłkiem przełknąłem pierwszy łyk. W tej samej chwili weszła do pokoju czysto ubrana, lecz rozlazła (?) służąca i postawiła na stole masło. Tego było stanowczo za wiele. Przeprosiłem, wybiegłem z pokoju i gdzieś za rogiem domu, poprostu mówiąc, pojechałem do Rygi... Nie mogę nie dodać, że Janek miał dotąd wśród Żydów dużo przyjaciół, był chrzestnym ojcem wielu z nich i miał stanowczo dla nich stosunek raczej życzliwy".

Opinja wielkiego poety, Jana Kasprowicza, jest tak ustalona, że nie zdołają mu zaszkodzić nawet najdziksze brednie, wypisywane przez jego drugą żonę. Zdarzało się największym ludziom plecenie „przy kieliszku wina" andronów, ale nie wszyscy mieli wyjątkowe szczęście posiadania przy swoim boku wiernej towarzyszki, któraby je notowała skwapliwie, ażeby móc przekazać potomności. Tej damie nie wystarczają już zwykłe lustra i oto z perwersyjną rozkoszą wyszlifowała sobie osobliwe i rzadkie zwierciadło: duszę wielkiego twórcy. Przegląda się w niem ze wszystkich stron i znajduje, że jest jej wcale do twarzy w roli Muzy. Prawie tak, jak gdyby kieliszek wina, który wypijał Szyller przy pisaniu, rościł sobie prawo do współautorstwa „Ideałów"!

Ale co ma do roboty z tem wszystkiem literatura polska? Aha, pewnie jakiś pokątny nakładca złakomił się na ten produkt erotoreklamy w nadziei zrobienia świetnego interesu. Spoglądam na okładkę. Książkę wydał Instytut Literacki, utrzymywany z Funduszu Kultury Narodowej, a zatem ze świadczeń całego społeczeństwa. Kazał tę bzdurę przetłumaczyć z rosyjskiego, stylem, którego próbkę mamy powyżej, i zapłacił prawdopodobnie sute honorarjum.

Pani Kasprowiczowa zastrzega z naciskiem, że jej mąż nie był nigdy antysemitą, a zwłaszcza w czasach swojej młodości, t. zn. wówczas, kiedy jeszcze nie był narodowym demokratą, hołdował zaś „liberalnym poglądom". Toż to tradycyjnych zwałów wiekowej potęgi ciemnoty potrzeba na to, ażeby żydowska śmietanka, a zwłaszcza masło (żydzi byli zresztą od niepamiętnych czasów w Polsce pachciarzami) mogły wywołać u młodego chłopca tak drastyczną reakcję. Nie było czem się chwalić, łaskawa Pani! Nie należało tego puścić, Szanowny Panie Redaktorze! Bo nie będzie potem przyjemnie, gdy ktoś zapyta: „Jeżeli tak wygląda żywiołowy, „psychofizyczny" antysemityzm liberała, a przytem znakomitego poety, to jak może się on przejawiać w Polsce u prawdziwych antysemitów?"

CZESNE

Dotkliwa podwyżka opłat w wyższych uczelniach stwarza monopolizację wykształcenia wyższego przez warstwy zamożniejsze. Wpłynie to w najwyższym stopniu ujemnie na ogólny poziom kulturalny społeczeństwa.

Od początku istnienia państwa polskiego ilość dzieci proletarjatu na uniwersytetach była niewielka, zarówno z powodu niskiego poziomu kultury mas, jak i trudności finansowych, jakie dziecko robotnicze czy chłopskie miało do przebrnięcia po drodze do wyższej uczelni. W roku 1928/29 cyfry odpowiednie wyglądały następująco: ogólna liczba studentów — 43.600, dzieci chłopskich — 3.100, dzieci robotników przemysłowych — 400.

Nawet więc w okresie najlepszej konjunktury 79.2% robotników i chłopów dawało tylko 8% studentów. Potem przyszedł kryzys, który, jakkolwiek dotknął wszystkie warstwy, najbardziej dał się we znaki masom pracującym. Wskutek spadku cen, oraz jeszcze większego spadku zarobków „sztywne ceny" opłat uniwersyteckich stały się brzemieniem nielada. Pośród zapisujących się na pierwszy rok, coraz mniej pochodziło z pod strzech, czy z izb robotniczych.

Ostatnia podwyżka czesnego jest zaryglowaniem drzwi do wyższych uczelni przed dziećmi proletarjatu.

Wysokość podwyżki ilustrują następujące cyfry:

Suma opłat (wydział prawny U. W.)

	1928/9	1931/2	wskaźnik (1928—100)
w złotych	149	270	181,2
w kg. żyta	441	1435	325,4
w kg. wieprza	75	259	345

A więc pozorna podwyżka o 81% jest w rzeczywistości w porównaniu z cenami artykułów pierwszej potrzeby podwyżką zgóry trzykrotną.

Rezultaty były natychmiastowe. Jak doniósł „Czas" krakowski, „na jeden z wydziałów Uniwersytetu Jagiellońskiego nie wpłynęło ani jedno podanie syna chłopskiego". Niema się czemu dziwić. Samo czesne równa się zbiorowi żyta z półtora hektara. (!)

Nietylko jednak robotników i chłopów dotknęła ta podwyżka. Nie mniej odczuli ją pracownicy umysłowi, których dzieci stanowiły dotąd trzydzieści kilka procent ogółu studentów.

Weźmy pod uwagę urzędnika państwowego średniego t. zn. 7-go stopnia służbowego (referendarz, nauczyciel szkoły średniej), obarczonego rodziną: żoną i dwojgiem dzieci. Zarabiał on w r. 1928/29 7.368 zł. rocznie, obecnie zarabia 5.400. Przypuśćmy, że tylko jedno dziecko ma on na wyższej uczelni. Koszt samego tylko czesnego wynosił w r. 1928/29 2% rocznego budżetu, w r. 1931/32 — 5%. W budżecie nauczyciela szkoły powszechnej odpowiednie pozycje wynoszą 7.2% w 1931/2, wobec 2.8% w 1928/29.

A więc rzeczywista podwyżka dwu i półkrotna, a wziawszy pod uwagę, że duża część budżetu idzie na wydatki „sztywne", jak komorne i t. p. — efektywnie jeszcze wyższa.

***

W dzisiejszych czasach, kiedy budżet przeciętnej rodziny pracowniczej leży w granicach minimum egzystencji, utrzymywanie dziecka poza domem jest już ciężarem ponad siły. Studenci z prowincji żyją za grosze. W domach akademickich, gdzie mieszka właśnie młodzież ze sfer pracowniczych, przeciętny budżet akademika, wynoszący w r. 1928/29 150 — 200 zł., dzisiaj nie przekracza 80 — 100 złotych.

Gdy więc czesne trzy lata temu równało się miesięcznym wydatkom studenta, obecnie równa się kwartalnym.

Możliwość zarobienia na opłaty, nawet gdy się dostaje na utrzymanie, jest obecnie mało realna. Zarobienie zaś na opłaty i na życie należy raczej do dziedziny marzeń. Skromne posadki prawie, że zniknęły z horyzontu, rynek lekcyjny notuje nieprawdopodobną dysproporcję popytu i podaży, skutkiem czego ceny spadły o kilkaset procent, tak, że bywają lekcje po 75 — 80 groszy za godzinę.

Tak wygląda stan faktyczny. Na to, by zapobiec deproletaryzacji wyższych uczelni, na to, by udostępnić je dla dzieci pracowników umysłowych, należało by opłaty zmniejszyć o 40 — 50%.

NA ROZSTAJNYCH DROGACH

W artykule, poświęconym filozofji praktycznej Russella, pisał niedawno w „Gazecie Polskiej" prof. Czesław Znamierowski: „Djagnozy dotyczące naszych czasów, są ogólnikowe i przesadne. Nie upada jeszcze cywilizacja zachodnia, jak chcą, czy jak się obawiają niektórzy. I nie rokwita nowa forma życia, którąby była niezawodną drogą do szczęścia. W rzeczywistości poprostu rozluźnił się układ rzeczy, który dotychczas z nadmiarem szacowano, jako trwały; a stąd zwiększyła się ilość zawsze wieloraka możliwych dróg dalszego rozwoju. Stąd zaś znowu większa dziś doniosłość naszych ocen i wyborów".

Wybitny socjolog polski powiedział w powyższych słowach więcej, niż chciał i nawet nie to, co chciał. Istotnie, bagatelizując poniekąd wysuwane w ciągu ostatnich kilku lat oceny obecnej epoki, prof. Cz. Znamierowski sam podkreśla jedną z najbardziej charakterystycznych cech przeżywanego przez nas okresu dziejowego. Mamy na myśli słowa: „rozluźnił się układ rzeczy, który dotychczas... szacowano jako trwały".

Otóż w tych kilku słowach prof. Cz. Znamierowski stwierdza, iż żyjemy w epoce krytycznej, przełomowej.

Już Saint - Simon, a za nim August Comte, dzielił historję na epoki organiczne i epoki krytyczne. Pod epokami organicznemi rozumieli oni okresy ładu, porządku, gdy pomiędzy różnemi elementami życia społecznego istnieje consensus, gdy poszczególne składniki odpowiadają sobie wzajemnie, są skoordynowane, dopasowane. Są to okresy, które, używając terminologji heglowskiej, możnaby nazwać syntetycznemi, okresami syntezy historycznej, gdy pewien ustalony porządek społeczny, określony reżym gospodarczo - polityczny został ustabilizowany i rozwija się wedle swej wewnętrznej logiki.

Natomiast epoki krytyczne są to okresy, w których ów consensus słabnie, gdy ustalony porządek społeczny, polityczny i gospodarczy załamuje się, rozluźnia, a nowy porządek rzeczy jeszcze się nie wykrystalizował; gdy życie społeczne znajduje się na rozstajnych drogach, załamujący się porządek rzeczy nie stał się jeszcze przeszłością, a nowy nie jest jeszcze teraźniejszością.

Stosując terminologję heglowską, możemy powiedzieć, iż stare formy społeczne, gospodarcze lub polityczne doszły do swego najwyższego stopnia rozwoju i znajdują się już na linji upadku, a wywołane przez nie do życia tendencje przeciwne nie stały się jeszcze dominującemi.

Comte'owskie epoki krytyczne są to okresy ostrej walki pomiędzy tezą a antytezą, z której to walki ma się wyłonić nowa synteza, nowy porządek rzeczy, nowy ład, który nie jest całkowicie podobny ani do tezy, ani do antytezy, gdyż amalgamuje, łączy w sobie składniki jednej i drugiej.

Gdy w toku djalektyki dziejowej określony reżym społeczny doszedł do najwyższego momentu swego rozwoju, gdy społeczeństwo staje się wedle wyrażenia Marxa i Engelsa, podobne do czarnoksiężnika, co nie umie okiełznać siły podziemnej, jaką zaklęciem na usługi sobie zawezwały, wtedy mamy przed sobą epokę krytyczną, przełomową, przejściową.

Trzeba przy tem pamiętać, iż taki podział na epoki organiczne i krytyczne jest operacją naszego umysłu, gdyż w rzeczywistości wszystkie okresy się zlewają, wrastają jeden w drugi.

Gdy prof. Cz. Znamierowski konstatuje, iż w obecnych czasach: 1) rozluźnił się układ rzeczy... dotychczas... trwały, 2) nie upada jeszcze cywilizacja zachodnia, 3) nie rozkwita (jeszcze) nowa forma życia, 4) zwiększyła się ilość zawsze wielorako możliwych dróg dalszego rozwoju, — to podkreśla cechy, które właśnie charakteryzują epokę krytyczną.

O obecnym integralnem przesileniu istnieje już dość pokaźna literatura, wystarczy wspomnieć o Niemcach — Walterze Rathenau i Oswaldzie Spenglerze, o Francuzach — Gaston Riou, Henri Massis, Lucien Romier, Romain Rolland, Emmanuel Berl i t. d., o Włochu Ferrero, o Rosjanach — Leninie i Bucharinie z jednej strony i ich przeciwieństwie — Berdjajewie i prof. Wipperze z drugiej. Z naszej literatury — Artura Śliwińskiego „Na przełomie dwóch epok" i Romana Dmowskiego „Świat powojenny i Polska".

***

W pewnym sensie słuszne jest twierdzenie, iż historja się nie powtarza. Każda epoka krytyczna musi posiadać pewne cechy, które składają się na tę „krytyczność", ale pozatem poszczególne krytyczne epoki mają prócz tych cech ogólnych, cechy indywidualne, oryginalne.

Te oryginalne cechy obecnej epoki stara się uchwycić członek Akademji Francuskiej, znakomity poeta i essayista Paul Valery w swej książce: „Regards sur le monde actuel".

„Żyjemy, pisze, w epoce nadzwyczajnej, w której poglądy najbardziej podzielane i zdawałoby się bezsprzeczne zostały zakwestjonowane, obalone, zaskoczone przez fakty, i to tak dalece, iż obecnie jesteśmy świadkami bankructwa imaginacji i upadku rozumu, bo niezdolni jesteśmy urobić sobie jednolitego obrazu świata, który to obraz obejmowałyby wszystkie dane doświadczenia, dawne i nowe".

„Polityczne zjawiska naszej epoki, pisze dalej Paul Valery, są połączone z bezprzykładną zmianą skali, a raczej zmianą porządku rzeczy. Świat, do którego zaczynamy należeć, nie ma już oblicza, jakie miał ten, do którego przywykliśmy. System przyczyn, kształtujący los każdego z nas rozpościera się obecnie na całość globu ziemskiego, każdy wstrząs znajduje rezonans na całej kuli ziemskiej, *niema już więcej kwestji lokalnych*, kwestji, które możnaby uważać za skończone na jakimś poszczególnym odcinku globu".

***

Obecny stan rzeczy jest więc zasadniczo różny od tego, do którego przywykliśmy w przeszłości, gdy historja składała się ze zjawisk możliwych do zlokalizowania. Cała kula ziemska stanowi jedną nierozerwalną sieć i wydarzenia, które powstają w jakimś poszczególnym punkcie, w bardzo prędkim tempie wywołują, częste nieoczekiwane konsekwencje, we wszystkich innych punktach globu. Fakty, dokonane w Tokio, znajdują swój odpowiednik w Berlinie. To też tak przyczyny, jak też i skutki są obecnie bardziej skomplikowane, niż to było dotychczas. Konsekwencje tego nowego charakteru zjawisk historycznych są bardzo ważne: „Dawna geometrja historyczna, oraz dawna mechanika polityczna zgoła się już dla nas nie nadają".

„Rozmiary, przestrzenie, masy — które obecnie stanowią przedmiot zjawisk historycznych, koneksje tych elementów, niemożliwość ich lokalizacji, błyskawiczność reperkusji — wszystko to zdaniem poety — myśliciela wymaga stosowania polityki „zgoła odrębnej od polityki dotychczasowej".

Przewidując objekcje tradycjonalistów, iż w tem, co dla Valery jest nowym faktem, nowym charakterem zjawisk dziejowych — należy upatrywać jedynie zmiany ilościowe, a nie jakościowe, poeta słusznie przypomina, iż zmiany ilościowe w pewnym momencie powodują zmiany jakościowe. Jest to naturalny skutek integracji tak w przyrodzie, jak też i w życiu społecznem.

Paul Valery poddaje ostrej krytyce tradycyjną historjozofję, przypominając, iż jedynie na skutek przypadku rozmyślamy o permanentnych okolicznościach naszego życia i zdajemy sobie z nich sprawę dopiero wtedy, gdy się gwałtownie zmieniły.

Rozważania Valery nawiązują z jednej strony do bardzo ciekawego dzieła Ferrero „L'Unité du monde", z drugiej do słynnych „Considerations inactuelles" Nietzschego.

Nie bacząc na abstrakcyjność, „ogólnikowość", jak powiedziałby prof. Znamierowski, sformułowań, rozważania Valery są bardzo aktualne i prowadzą do całkiem konkretnych i pragmatycznych wniosków o charakterze obecnej epoki, par excellence krytycznej, przełomowej.

Zdaniem prof. Znamierowskiego zwiększyła się „dziś doniosłość naszych ocen i wyborów". Otóż oceny te i wybory będą pozbawione wszelkiej wartości dopóty, dopóki nie będziemy sobie zdawali sprawy z odrębnego charakteru naszej epoki, dopóki to, co Valery nazywa „fait nouveau" (nowy fakt), nie będzie miało w naszych rozważaniach conajmniej tej wagi, jaką ma tradycja i t. zw. fakty historyczne, często przytem, jak to podkreśla Paul Valery, wypaczone.

S. Czeczelnicki

„Epoka" daje lekturę wszechstronną i poważną, pragnąc zaspokoić głębsze potrzeby intelektualne i duchowe czytelnika.

BURZA NAD RZESZĄ NIEMIECKĄ

DYKTATURA DEKRETU

Życie ma swe potrzeby, a litera prawa jest sztywna i martwa. To też częstokroć jedno dziesięciolecie praktyki kostytucyjnej zupełnie wystarczy, by pomiędzy dokumentem konstytucyjnym, zbiorem reguł i gwarancyj, a życiem państwowem stworzyć głębię, której najbardziej zręczny komentator ukryć nie potrafi. Zczasem te dwie dziedziny zarysowują się tak niezależnie obok sobie, że dla gruntownego poznania ustroju i jego mechanizmu, bardziej wskazanem jest wniknięcie w praktykę administracyjną, niż poznanie przepisów, które w swej większości pozostały jedynie niezrealizowanemi zapowiedziami. Nie potrafią temu zjawisku przeciwdziałać częste nowele ustawodawcze, wydawane z nadzwyczajną techniką i w zadziwiającej ilości. Jedynie Anglja, która z właściwym jej rozumem stanu umiała żywą jurysdykcję sądów uczynić częścią składową—może najwybitniejszą — martwego systemu prawnego, uniknęła tej groźnej sprzeczności między zapowiedzią konstytucyjną a jej urzeczywistnieniem, między prawem a życiem. Niebezpieczeństwo to jest tem groźniejsze tam, gdzie u kolebki konstytucji nie stała żadna wielka myśl, gdzie przepisy konstytucyjne są jedynie kompromisem haseł znanych od lat kilkudziesięciu z narzucającą się potrzebą chwili.

Taką konstytucją jest konstytucja Wejmarska — elaborat prawny, nieskazitelny w swej jasności, słownictwie, budowie i harmonijnem zespoleniu poszczególnych części. Nic w nim jednak twórczego, nic z tego elanu mistycznego, który owiał francuską „deklarację praw człowieka", nic z tej przekonywującej wiary w niewzruszalną słuszność praw jednostki, która bije z „wielkiej karty" i wszystkich konstytucyjnych billów angielskich.

Konstytucja niemiecka nie była w żadnym kierunku rewolucyjna i przewrót, który ją zrodził, nie wiele miał w sobie ducha rewolucyjnego. „Rewolucja niemiecka — pisze b. minister Rzeszy Schiffer—była nieomal rewolucją w szlafroku i pantoflach. Była wprawdzie bezkrwawa, ale za to bezduszna. Nie pobudziła żadnych źródeł ducha, nie wyżłobiła koryta dla przypływu nowych myśli, nie przyniosła nowych ustaw, w których odzwierciadliłby się jej duch. Zrodziła tylko czystą i solidną — pracę prawników".

***

I tak z powodu braku przewodniej idei stanęły w Niemczech w krótkim czasie w rażącej ze sobą sprzeczności z jednej strony „martwa Verfassungsurkunde", a z drugiej wielobarwne życie—„Verfassungsleben". Ta różnica nigdzie tak jaskrawo nie uderza, jak w stosunku do tak nowoczesnego zjawiska, jakiem jest partja i jej przemożnego wpływu na życie polityczne. Kiedy konstytucja wejmarska raz jedyny wprowadza to pojęcie, by się od niego odżegnać nakazem reprezentowania przez posłów całego narodu, a nie jego poszczególnych części, to życie konstytucyjne uczyniło z partji czynnik najbardziej dominujący w kraju. Jeszcze nawet niemiecka ordynacja wyborcza z r. 1920 ją ignoruje. A już wkrada się kłamstwo pomiędzy życiem ,a prawem, bo poseł jest naprawdę tylko eksponatem swej partji w Izbach, urzędnik jej reprezentantem w administracji, a sędzia z ad hoc skonstruowaną wykładnią prawa, chroni jej interesów przy zielonym stole. Partje niemieckie rozrastają się do niebywałych rozmiarów, wchłaniają jednostkę, narzucając jej program, religję i wodzów. A ta jednostka, która stanowi oś konstytucji, jest zupełnie pozbawiona znaczenia i wpływu. Pomiędzy literą prawa, a jednostką stanęły partje, w swem znaczeniu olbrzymie, w swej organizacji potężne. Niestety rozpętanej burzy walki i przeciwieństw żadna z partyj opanować nie mogła.

Żadna z nich dotychczas nie była w stanie ująć dyktaturę w swe ręce. Żadna z nich nie miała dotychczas dość siły, by narzucić Rzeszy swój program.

Tak więc życie, które w tych trzynastu latach odsunęło się od postanowień konstytucji wejmarskiej, musiało nagle w swej odmienności stanąć nad luką prawną. Na niej niespodziewanie ponad głowy partyj wyrasta jedyna jeszcze w autorytet wyposażona władza prezydenta, która tę pustkę próbuje gwałtownie zapełniać masowo tworzonemi dekretami, często z konstytucją sprzecznemi, by dopasować normę do nowego życia — w płonnej nadziei, że reguła prawna potrafi uśmierzyć namiętną burzę, która szaleje nad Rzeszą. Ponad wszechwładnemi w konstytucji Izbami, ponad potężnemi w swej organizacji partjami rewolucyjnemi, rozrosła się niebywale władza prezydenta, umożliwiając mu giętkim „dekretem" stworzenie nowej dyktatury, dyktatury dekretu i wszechwładnej administracji. Dekret wciska się w najintymniejsze dziedziny życia prywatnego, reguluje wszystko, wszelką swobodę jednostki niwecząc, niszcząc każdą inicjatywę prywatną. Dyktatura dekretu i wszechwładza administracji może dla wolności jednostki być równie niebezpieczną, jak dyktatura partji czy jednostki. Dlatego słusznie lord Hewart, najwyższy sędzia angielski, nazwał to zjawisko, zwalczając jego objawy w Anglji, nowym despotyzmem (The new despotism, London 1929), który zagraża Europie.

I. Reisler

„Epoka" jest pismem dla ludzi myślących, którzy pragną pogłębić swój sąd o rzeczywistości współczesnej.

PRAWDA O SOWIETACH

Uwaga świata całego ogniskuje się niezmiennie na Rosji, ale źródła tej uwagi są różnorodne i oparte na wielu, często biegunowo przeciwnych stanowiskach.

Liczni podróżnicy i badacze stosunków rosyjskich, całe ekspedycje rzeczoznawców, kupców, przemysłowców, dziennikarzy, artystów, literatów przebiegają od szeregu lat Rosję wzdłuż i wszerz, szukając gorączkowo prawdy w tej nowej rzeczywistości społecznej, politycznej i gospodarczej.

Nietylko świat kapitalistyczny, świat finansistów, rekinów, grynderów, ale w niemniejszym stopniu cały świat pracy szuka odpowiedzi na wszystkie pytania, związane z możliwościami istnienia i rozwoju Sowietów. Cała obszerna już literatura, poświęcona tym przedmiotom, zarówno apologetyczna, jak objektywna i krytyczna, — nie może dać jeszcze dotychczas pełnego i jasnego obrazu rzeczy, nie pozwala na wyrobienie sobie ostatecznych, zdecydowanych punktów widzenia na nowe wartości, wznoszone na ruinach piramid dawnej tyranji politycznej i gospodarczej. Cała ta różnojęzyczna literatura, która właściwie powinna mieć wspólny nagłówek: „chaos trwa", raczej dotychczas rodzi nowe pytania, niż odpowiada wyczerpująco na postawione, pomimo skrzętnego gromadzenia cyfr, opisów miast nowych, fabryk, kopalń, pomimo nowych miljonów koni mechanicznych, lasów, turbin, traktorów i t. d.

Chaos naturalnie trwa, gdyż załamały się i rozsypały jedne stanowiska i podstawy ustrojowe, drugie wznoszone jeszcze się nie utrwaliły i statystyka jest bezsilna wobec nieznanej właściwej treści, która się rodzi w podziemiach, jakby w krainie śmierci według greckich mitów Persefona i zaważyć ma w sposób nieuchwytny na przyszłych losach ludzkości.

O próbę odrysowania nowego oblicza Rosji i o próbę pochwycenia pewnego rytmu w jej życiu dzisiejszem kusiło się wielu pisarzy, ale gorączka poszukiwań, jak również z drugiej strony pewien wpływ hypnozy, utrwalonej przez wiek walki inteligencji rosyjskich przeciw własnej historji utrudnia mocno właściwe widzenie.

Na Rosję patrzało się i mimo wszystko wielu patrzy dziś jeszcze przez pryzmat cierpień, porywów i ofiarnego idealizmu całych pokoleń bojowników rosyjskich, poczynając od Bestużewa, Pestela, Murawjewa — Apostoła i idąc śladem wspaniałego korowodu niezwykłych postaci od Czernyszewskiego, Bielińskiego, Ogarewa, Hercena do Wiery Figner, Zasulicza, Morozowa, Kibalczyca i wielu, wielu innych, niosących przed narodem na przestrzeni wieku od Rylejewa poprzez Bakunina do Plechanowa, niby transparenty, wspaniałe obrazy wymarzonego świata wolności i wyzwolenia.

Całe pokolenia samurajów rewolucji w dziedzicznem poczuciu abstrakcyjnego buntu inteligencji rosyjskiej, dla której godzenie się z rzeczywistością tyranji carskiej stanowiło już samo przez się świadectwo duchowego upadku — przeżywały jakby w śnie hypnotycznym wyczarowany świat chłopskiego i robotniczego dostojeństwa i dobrobytu.

Ale mistyczny poniegąd stosunek do świata dawnego narodniczestwa i socjalizmu skończyć się i prysnąć musiał wraz z załamaniem się ustroju kapitalistycznego i w zetknięciu się z wyłaniającą się, chociaż niesformowaną jeszcze rzeczywistością rosyjską. Jednakże ta nowa psychika pokolenia, które powinno uważać się za spadkobiercę walk całego stulecia i snów o przyszłej potędze, zmieniać się musi z dnia na dzień równolegle do zmiany roli i przechodzenia od kucia kilofem w podziemiach pracy rewolucyjnej do kielni przy rzeczywistem budowaniu nowego ustroju.

Do bogatej już literatury, poświęconej właśnie budowie tego nowego życia, przybyła w tych dniach książka inż. Tadeusza Błeszyńskiego p. t. „*Więcej prawdy o Sowietach*". Autor, który znał dobrze carską Rosję i który w Sowietach przebył kilka lat ostatnich w charakterze, jak widać, inżyniera-speca, ma wiele do powiedzenia. Podkreślić trzeba, że najważniejszą cechą tej książki jest jej bezsporny objektywizm. Zaufanie do tego, co p. Błeszyński mówi, zaczyna się od pierwszej zaraz stronicy, każda zaś kartka następna podnosi zainteresowanie, pogłębiając jednocześnie przekonanie, że książka jest owocem myślącego, znającego stosunki człowieka, który nie pozwala sobie na improwizację, lub dobieranie świateł i cieni. Autor usiłuje z poczuciem odpowiedzialności za to, co mówi, — odtworzyć obraz materjalnych i duchowych stosunków, ustalając właściwy nieuprzedzony punkt widzenia rzeczy. Sumienność w tym względzie wymaga tem mocniejszego podkreślenia, że autor nie jest ani socjalistą, ani komunistą, raczej przeciwnie, domyślać się wolno, iż jest zdecydowanym narodowcem i wierzącym katolikiem.

„Informacje o Rosji sowieckiej — powiada p. Błeszyński — są u nas bardzo często równie kłamliwe i bezplanowe, jak bezplanowy jest cały stosunek poszczególnych państw kapitalistycznych do Z. S. R. R. Mylnym informacjom polskiej prasy i niektórych antybolszewickich broszur propagandowych o bandach wałęsających się dzieci, o szalonej prostytucji, o jednodniowych małżeństwach, o tem, że wszystkiem rządzą żydzi i że domy w Leningradzie stoją pustkami, że wszyscy głodują, a komisarze hulają, że piatoletka się załamuje i t. d. — należy raz nareszcie położyć kres, aby nie wprowadzały w błąd społeczeństwa polskiego" (str. 180).

I autor, wierny swojemu założeniu, na 252 stronicach usiłuje odtworzyć obraz stosunków sowieckich, nie pomijając żadnej dziedziny życia, poczynając od ulicy i fabryki i kończąc na teatrze i wychowaniu młodzieży.

Każdy czytelnik kulturalny i myślący, niezależnie od swojego stanowiska ideowego wyłuskać z tej książki może wiele trafnych spostrzeżeń i uwag, zaś na podstawie mnóstwa danych dopowiedzieć sobie może wiele rzeczy z dziedzin, szczególnie go interesujących.

Całe, olbrzymie dzieło przebudowy ustroju autor jednakże uważa tylko za wytwór „myśli teoretyków, którzy w dziedzinie czysto ekonomicznej na swój sposób pojmowanej i do wprowadzenia w życie zaleconej, dołączyli jako ideę czysty materjalizm, odrzucając eo ipso wszelki idealizm i wypływającą z niego sferę ducha" (str. 233).

Ale jednocześnie autor uznaje, że „teoretycy ci stworzyli pewną religję materjalistyczną, a posiadając niezwykłą siłę woli, potrafili, jak prawdziwi fa-

natycy idei, iść latami do zamierzonego celu" (str. 234).

W zasadniczych zagadnieniach i najważniejszych dla świata kapitalistycznego p. Błeszyński wznosi się na wyżyny przedmiotowości. „W ciągu 13 lat naród rosyjski podległ głęboko sięgającym przeobrażeniom. Nowe pokolenia, które idą, dadzą zastęp zupełnie nowych ludzi. Będą to jacyś Marsjanie z powieści Wellsa, którzy zeszli na ziemię. To, co zagranica, a szczególniej emigracja rosyjska uważały za niemożliwe, zostało właściwie dokonane. Naturalnie, są to zaledwie początki. Bolszewicy sami twierdzą, iż zaczynają dopiero wstępować w erę socjalizmu" (str. 235).

W swoich końcowych rozważaniach na podstawie przeglądu dokonanych faktów, p. Błeszyński dochodzi do przekonania, iż „piatilietka się uda". Uwaga jego zwrócona jest przedewszystkiem na to, iż „komunizm konsekwentnie idzie do celu, a choć idzie naprawdę po trupach, swoje jednak plany realizuje. Jest ciągle z każdym rokiem silniejszy, a trzeba się zgodzić z faktem historycznym, iż silny ma zawsze rację" (str. 238).

Zamykając tę rzeczową książkę, chciałoby się na marginesie jej zanotować, że zapewne jak wszystko w Rosji dzisiejszej, tak i w dziedzinie duchowej tworzy się tam nowy psychicznie człowiek, który w tej chwili, wychodząc zaledwie ze stanu embrjonalnego niema jeszcze swego wyraźnego, ustalonego oblicza.

Być może zatem, że głęboki materjalizm, który tak razi autora, wypisany dziś na olbrzymiej fasadzie duchowego świata Rosji obecnej — jest koniecznem i zapewne przejściowem dopełnieniem biologicznych wprost metod wytwarzania nowego życia, nowej kultury.

P. Błeszyński, sam zresztą bardzo powściągliwy w sądach o przyszłości, — niewątpliwie zgodzi się z tem, że zawcześnie wogóle jest mówić o wnioskach ostatecznych, tembardziej więc o syntezie.

Henryk Lukrec

REFLEKSJE

OTĘPIENIE

Przypatrzcie się uważnie ludziom, którzy ulegli wielkiej epidemji psychicznej i codziennie po kilka godzin grają w bridża.

Ludzie ci nie nudzą się, przeciwnie, są podnieceni, mają nerwy w napięciu, nieraz emocje ich są bardzo silne i doprowadzają osoby mniej kulturalne do nieprzyjemnych wybuchów. Kombinacje bridżowe są przedmiotem najżywszych dyskusji, gracze potępiają z oburzeniem jakieś mylne posunięcie, chwalą gorąco dobrą „rozgrywkę", a różne wyjątkowe wypadki wspominają całemi latami. Słowem, możnaby powiedzieć, że to jest gra „pełna życia"...

A jednak stykamy się tu ze stanem szczególnego rodzaju otępienia. Tego otępienia, które przychodzi zawsze, kiedy człowiek zwęża teren swoich emocji do granic jakiejś jednej rzeczy, kiedy tylko jakiś jeden środek pobudza go do żywszej reakcji uczuciowej i nerwowej. Tak jest ze wszelkiego rodzaju narkomanami. Zapaleni bridżyści, spędzający przy kartach znaczną część życia, popadają w nałóg otępiający. O bridżu myślą najintensywniej, spieszą się do gry, jak morfiniści do swojej trucizny, liczą minuty, kiedy już goście zasiądą do kart. Proces otępienia dobrze widać w tych domach, gdzie zapanował bridż i gdzie stopniowo, zrazu powoli, następnie w tempie coraz szybszem zanikają wszelkie zainteresowania społeczne, kulturalne, artystyczne. Znika tam rozmowa, słabnie i w końcu zamiera prawdziwe życie towarzyskie, niegrających w bridża już się nie zaprasza, bo są niepotrzebni. Znika tam książka, zwęża się horyzont myślowy, słabnie i ginie wszystko, co należy do życia intelektualnego. Ponure otępienie. Mimo, że bridż to gra tak „żywa", skomplikowana i inteligentna.

Takiemu otępieniu ulegają dziś starzy i młodzi, mężczyźni i kobiety — w szerokich, coraz szerszych warstwach biednej duchowo inteligencji. Doprowadzili się do tego, że bez kart nudziliby się beznadziejnie. W niejednym domu bridż ratuje małżeństwo, które zabiłały nuda. Nie mają tam sobie ludzie już nic do powiedzenia, więc — grać! grać jaknajdłużej, aż do ostatecznego znużenia.

Nałogowi bridżyści popadają w zobojętnienie dla największych spraw dzisiejszego świata. Następuje u nich zanik zmysłu ciekawości życia. To są „indywidualiści", którzy do wszystkiego odnoszą się z pogardliwym indyferentyzmem. Chorzy na bezwrażliwość nałogowcy.

Powiedz mi, jak często grasz w bridża, a powiem ci, kim jesteś...

***

Zjawisko tego rodzaju otępienia zaczyna się upowszechniać i znajduje wyraz w różnych rozrywkach, które mają dawać ucieczkę od nudy.

Tym, którzy nudę mogą zabić już tylko przez otępiające przyjemności.

Yo-yo... Niby śmieszna rzecz... Kółeczko, niteczka. Kółeczko, zręcznie i w odpowiedniej sekundzie podciągnięte, wpada do rączki. Do rączki dorosłego człowieka... Raz, dwa, dziesięć, sto razy. Kwadrans, drugi kwadrans, godzina, druga. Otępienie.

Takie właśnie yo-yo — niby nic, niby zabawna psychoza — mówi niezmiernie dużo o stanie psychicznym pewnej kategorji ludzi, jest znowu wymownym znakiem otępienia. Groźny to, przygnębiający znak— zwłaszcza w życiu dużego odłamu dzisiejszej inteligencji. Co ten odłam interesuje, co absorduje, co bawi?

***

Grają w warszawskim Teatrze Letnim farsę „Hulla ben Bulla". Tępe błazeństwo. Sam pomysł wystawienia tego rodzaju okropnej bzdury ma znowu swoją doskonałą wymowę. A może dyrekcja Teatru Letniego nie myli się. Może to będzie bawiło publiczność? I to, że dobrym aktorom kazano wygłupiać się potwornie.

Poziom to najniższy. Niżej już nie można. Kto na tem sztuczydle wysiedzi dwie godziny i będzie zadowolony, niech wie, że popadł w ostateczne otępienie.

***

Tak na przebogatej, twórczej i szalonej, radosnej i tragicznej arenie współczesnego życia grasują umysłowe trupy, których już nic nie ożywi.

Karty, yo-yo i Hulla ben Bulla....

Wszystkiego dobrego!

Widz

O WPŁYW DZIENNIKARZY NA PRASĘ

Prawdziwy to zaszczyt dla mnie, ale, co ważniejsze, istotny pożytek dla sprawy, że publicysta tej miary i tej wartości społecznej, co p. Stefan Grostern na łamach Epoki zareagował na mój artykuł, umieszczony w Jutrze Pracy p. t. „Do kolegów - dziennikarzy". Pozwala mi to mieć nadzieję, że tak długo opinja publiczna i dziennikarska interesować się będzie zagadnieniem zawodowej bierności czy aktywności stanu dziennikarskiego, aż wreszcie wyjaśnimy sobie, czy — wobec wciąż postępującego „uprzemysłowienia" prasy i w Polsce — dziennikarze, a zwłaszcza publicyści mają zrezygnować „z przeprowadzenia w dziennikach swej ideologji" a stać się „najmitami", czy też uda się, choćby po ciężkiej walce, zrealizować zasadę Międzynarodowej Federacji Dziennikarzy i Międzynarodowego Biura Pracy, że „w dziennikarstwie bardziej, niż w jakimkolwiek innym zawodzie, istnieje ścisły związek między zawodem i człowiekiem, między indywidualnością a działalnością zawodową". Inaczej mówiąc, czy pogoń za sensacją zatruje zawód dziennikarski, czy też dziennikarz uratuje swój zawód z dotychczasowej niezawsze zaszczytnej sytuacji.

Sam, jako publicysta, wiem, jakich wysiłków trzeba, aby w obecnych warunkach przekonać tego lub owego wydawcę czasopisma, iż przeprowadzenie jakiejś kampanji prasowej w sprawie zasadniczej jest społecznie doniosłe, a finansowo może nawet korzystne, i jak walczyć trzeba o umieszczenie poważniejszego artykułu.

Sprawa, o której z równą troską rozmyślamy z szanownym kolegą Grosternem, a którą Międzynarodowa Federacja Dziennikarzy określiła, jako „nieodzowną ochronę godności moralnej i niezależności zawodowej dziennikarstwa", sprawa ta toczy się dziś na terenie całego świata kulturalnego, a poraz pierwszy oficjalnie postawiona została w Międzynarodowem Biurze Pracy w czasie październikowej sesji (1928 r.) Commission Consultative des Travailleurs Intellectuels, której byłem podówczas członkiem, dzięki czemu miałem możność przyjrzenia się, z jaką namiętnością reprezentant wydawców czasopism zwalczał zasadę „garantie" czy „clause de conscience", (klauzulę sumienia).

Międzynarodowe Biuro Pracy w przygotowanym na tę sesję referacie pt. „La cessation de service pour raison de conscience dans le journalisme" stanęło na wyraźnem stanowisku, że *dziennikarz* nie tylko jest człowiekiem, który przez wykonywanie określonego zajęcia zarabia na życie, lecz że *jest to człowiek, który ma swe przekonania i opinje*, i który w swej pracy zawodowej *wprowadza* je *w życie*". „Opinje te i przekonania w większości wypadków stanowią jeden ze składników zasadniczych" zawodu dziennikarskiego. Wyrażając ten pogląd Międzynarodowe Biuro Pracy jednocześnie podkreślało dość powszechną tendencję „tworzenia się wielkiej prasy czysto informacyjnej", „uprzemysłowionej", jak to nazwał Szanowny kolega Grostern, a właściwie sensacyjno - deprawującej.

Walka więc o niezależność zawodu dziennikarskiego i o jego wpływ na prasę jest wytoczona i toczyć się będzie nadal. I my w Polsce musimy wziąć i weźmiemy w niej udział, jeśli nie chcemy brać na swe sumienie zawodowe aktywnego popierania akcji, zdążającej do deprawowania opinji publicznej.

Stąd konsekwencja dalsza. Zająć się tą sprawą musi nie ten lub ów dziennikarz, lecz organizacje zawodowe — syndykaty dziennikarskie. Lecz i ich siły są zbyt słabe, o ile nie złączą się z Unją Związków Zawodowych Pracowników Umysłowych (100.000 członków) i z Centralną Radą Pracowniczą (500.000 członków).

Szanowny Kolega Grostern nie entuzjazmuje się Unją „poprostu dlatego, że ta organizacja, wprzężona przez swoich kierowników w rydwan polityczny, zeszła na manowce, z których podobno zamierza zejść, ale nie widać żadnych tego dowodów".

Mogę, jako nienajgorszy znawca stosunków związkowych, oraz jako dziennikarz, ktory od 1906 r. niejednokrotnie współpracował z red. Grosternem, zapewnić go, że pogląd powyższy polega na nieporozumieniu. Unja i Centralna Rada Pracownicza w wyborach do ciał ustawodawczych udziału nie brały, bo jeszcze nie istniały. Nie brały również udziału i te centrale, z których Unja i CRP powstały. Jeśli Szanowny kolega Grostern pamięta odezwy wyborcze podpisane przez niektórych prezesów i sekretarzy związków zawodowych pracowników umysłowych, to zrobione to zostało na ich własną odpowiedzialność i wywołało ferment w związkach. Niektórzy z tych działaczy uzyskali stanowiska posłów i senatorów lecz na terenie związków zawodowych, niezależnie od swej przynależności partyjnej, naogół utracili wpływy i ustąpili ze stanowisk kierowniczych, gdyż okazało się w praktyce, że godzenie interesów związkowych i interesów partyjnych jest nie do przeprowadzenia. Nieliczne jednostki, które przy robocie związkowej pozostały, zawdzięczają to bądź wyjątkowym zasługom osobistym, bądź specjalnym okolicznościom.

Dla pracowniczego ruchu zawodowego moment ówczesny był nawet zwrotny. Po krótkotrwałej gorączce politycznej utrwaliła się głębiej zasada, że związki zawodowe mają nadal stać na gruncie apolitycznym i jednoczyć wszystkich, niezależnie od przekonań politycznych, i zasada ta coraz bardziej się realizuje. Jeśli Syndykat Dziennikarzy stoi na tem właśnie stanowisku, to nic już dziś nie przeszkadza do nawiązania ścisłego kontaktu z centralami zawodowemi.

W układzie tym dziennikarze mogliby tylko zyskać, a w walce o niezależność swego stanowiska zdobyliby mocnego, bo zorganizowanego sprzymierzeńca.

Henryk Rygier

„Epoka" jest pismem niezależnem od żadnej partji czy grupy politycznej.

BEZROBOTNI ZBLISKA I ZDALEKA

W prasie europejskiej z przed kilku tygodni szerokiem odbił się echem list otwarty niejakiego Rogera Babsona, zamieszczony w amerykańskiem ‚The Nation", a skierowany do ogółu bezrobotnych. Pisma podawały przedruk tego listu, jako curiosum w ocenie sprawy bezrobocia, które zdaniem p. Babsona jest w znacznej mierze skutkiem lenistwa, czy niechlujstwa robotników, a zarazem „doskonałą okazją dla samokształcenia się duchowo i fizycznie".

„Oddychajcie głęboko, pisał p. Babson, — pijcie dużo wody, ćwiczcie się dostatecznie, dobrze przeżuwajcie pokarm i śpijcie jaknajdłużej. Jedną godzinę dziennie spędzajcie w bibljotece publicznej, studjując tę gałęź przemysłu w jakiej pragnęlibyście pracować. Nie traćcie czasu na czytanie pism i słuchanie radja, gdyż rozporządzacie tą samą ilością czasu, co prezydent Hoover, albo Henryk Ford. Cała różnica między nimi a wami zasadza się na racjonalnem użytkowaniu czasu."

Rady p. Babsona są absurdem, biciem grochem o ścianę, kazaniem człowieka sytego, wypowiadanem do głodnych, których psychiki nie zrozumie ten, co nie zaznał głodu.

Kto przejrzy wyniki ankiety przeprowadzonej śród warszawskich fizycznych pracowników przemysłowych, opracowanej przez p. dr. Marję Balsigerową („Społeczne skutki bezrobocia". Warszawa, 1932. Wydawnictwo Polskiego Towarzystwa Polityki Społecznej), ten dowie się, iż bezrobotni nietylko nie mogą chcieć kształcić się „duchowo i fizycznie", lecz mimo głodu, chłodu, przygnębienia i brudu niechętnie korzystają z wszelkiej akcji dobroczynnej, niosącej im jadło, odzienie i lekarstwa. Jakowaś głęboka mądrość życiowa zabrania bezrobotnym korzystać z półśrodków, z „brudu ręki", jak jałmużnę nazywa Żeromski. Naprzekór przewidywaniom ludzi sytych, którzy widzą w bezrobotnych pasożytniczy element radośnie próżnujący i łasy na wszelką darowiznę przygodną, bezrobotni raczej odwracają się od ręki z datkiem i odrzucają „odczepne", przeczuwając podświadomie, że coś innego im się należy, a mianowicie pomoc ani jałmużnicza, ani dobroczynna, ale pomoc z prawa, na ustawodawstwie oparta.

Patrząc na kataklizmy dziejowe trudno doszukiwać się winnych, czasami jednak *trzeba* ich poszukiwać. Dalecy jesteśmy od rozjątrzania nienawiści klasowej, pragniemy jednak, by przepadł pan Babson, siedzący w wielu z nas, pan Babson, piszący do głodnych, iż „interesy znowu pójdą dobrze, skoro bezrobotni zmienią swój punkt widzenia na życie". Doszukiwanie się przyczyn bezrobocia w samych bezrobotnych jest niegodziwem głupstwem. Raczej chciwość bogaczy, władców przemysłu, rolnictwa i pieniądza, ale w żadnym wypadku zachowanie się mas pracujących nie może dla nikogo być przyczyną przesilenia gospodarczego, „winą" bezrobocia, czy „występkiem" obecnej nędzy.

Na bezrobotnych skupiły się wszystkie plagi cierpień moralnych i fizycznych, cała ohyda nędzy naszych czasów ich oblepiła swem błotem, niezasłużenie, krzywdząco. Kaznodzieje skłonni do rad czemu nie idą budzić „otwartemi listami" ludzi śpiących bezpiecznie i wygodnie, podczas gdy inni ludzie skracają sobie życie zbyt ciężkie od cierpień? Czemu nie wytykają win ludziom istotnie przez rzeczywistość naszych czasów obwinionym o kamienne serca.

Od bezrobocia widzianego z wyżyn balkonu po sutym obiedzie łatwo wymagać takiego bohaterstwa, jak „duchowe i fizyczne" kształcenie się, jak długotrwałe przeżuwanie pokarmów, których niema, lub spędzanie godziny dziennie w salach bibljoteki na studjowaniu tej dziedziny przemysłu, która „najbardziej odpowiada danemu osobnikowi". Zbliżmy się jednak do tych prawdziwych bezrobotnych, których fizyczną i moralną nędzę odkrywa przed nami książka p. dr. Balsigerowej, a wszelkie rady i wskazówki **uwięzną nam w krtani.**

W izbach, które zdają się posiadać „nieskończenie wielką pojemność" są ludzie, jest dużo ludzi sypiających do obiadu... by przespać śniadanie. Taki sen w przeludnionych izbach zadłużony jest częstokroć na wysokość półrocznego, rocznego, a czasem dwuletniego komornego. Jeśli weźmiemy pod uwagę, że na jednem łóżku sypia czworo, pięcioro, a nierzadko sześcioro osób, będziemy mieli pełny obraz tego snu, — jedynej pociechy bezrobotnego. Nie tęgi zatem sen, — lecz stokroć straszliwsze przebudzenie!

Są rodziny, gdzie na kilkoro dzieci przypada jedno palto, lecz są także rodziny, gdzie wszystkie dzieci zimą wcale z łóżek nie wstają... z braku obuwia. Są rodziny złożone z ośmiu, dziesięciu osób, które się utrzymują ze złotówki dziennie. Zachodzi pytanie z czego żyją ci ludzie? Odpowiedź prosta, — nie żyją, lecz umierają śmiercią powolną a beznadziejną, dręczeni przez chłód, choroby, bród i wierzycieli. Nie w dalekiej Ameryce p. Babsona, lecz na całym świecie, a przedewszystkiem w Warszawie. *W Warszawie.*

Los biednych małych dzieci jest okropny, — czy nie straszliwsze są jednak warunki dojrzewania chłopców i dziewcząt, które nie pracowały jeszcze nigdzie i żadnej nie mają pewności, czy kiedykolwiek do pracy przystąpią, lub przeciwnie, mają pewność, że nigdy?... Czy jeszcze okropniejszy nie jest los ojców i matek zdających sobie sprawę z całą świadomością z ponurej przyszłości tych zupełnie małych i tych dorastających dzieci? A przyszłość kultury zachodnio-europejskiej oglądana w obliczu 30 miljonów bezrobtnych całego świata, czyż nie przedstawia się groźnie? najgroźniej?... Wołanie p. Babsona do ogółu bezrobotnych, aby zmienili oni swój pogląd na życie można różnie tłomaczyć, — można tłomaczyć także w ten sposób, iż żąda się od nich i prosi się ich, by jaknajprędzej pomarli, — by swój pogląd na życie zmienili „zasadniczo" i ‚gruntownie". Topienie zboża i wylewanie mleka potwierdza tę hipotezę.

Wszystko dla bezrobotnych się robi — rady im się daje, poniża się ich jałmużną i wielki sprawia się szum nad stygnącemi ich zwłokami, prawiąc i każąc o „energicznej akcji i o zaszczytnych ofiarach społeczeństwa"... Widzimy je. „S p o ł e c z n e s k u t k i b e z r o b o c i a" ukazują nam fragmenty tej akcji i tych ofiar.

Fragmentaryczność ankiety jest bodaj jedyną jej cechą ujemną i jedyną ułomnością, na którą zresztą niema rady. Ankieta Towarzystwa Polityki Społecznej objęła zaledwie 204 rodziny bezrobotnych, liczące 929 głów. Jest to nikły odsetek ogółu bezrobotnych Warszawy i rekrutuje się wyłącznie z pracowników fizycznych.

Niemniej jednak, jeśli zważymy ile nakładu pracy wymagało samo uporządkowanie wyników ankiety, nie mówiąc już o wszystkich trudnościach technicznych „ekspedycji do krain bezrobocia" i o zbieraniu wiarogodnego materjału, — czuć winniśmy głęboką wdzięczność za sporządzenie tego niezwykle cennego dokumentu.

Pomocniczy kwestjonarjusz, jakim posiłkowano się przy zbieraniu materjału, zawiera szereg pytań z wielu dziedzin życia bezrobotnych, a wypowiedzi ustne notowane drogą wywiadu bezpośrednio na miejscu zamieszkania każdej z rodzin, muszą budzić pełne zaufanie. Ta bezpośredniość notowanych wypowiedzi bezrobotnych, oraz spostrzeżeń samych uczestników „ekspedycji" sprawia, iż materjał w ten sposób zebrany zbliża nas do bezrobotnych stokroć lepiej, niż jakakolwiek rozprawa naukowa, czy literacka opowieść.

Ankieta — to nie rozprawa, ani opowieść, lecz w tym wypadku wiwisekcja niedoli, zapewne przykra dla badanych biedaków, lecz jakżeż pożyteczna dla ogółu społeczeństwa! Działać powinna jak zastrzyk bolesnej, hańbiącej prawdy, gdyż to jest hańbą dla społeczeństwa, iż nie czyni wszystkiego co jest w zasięgu jego mocy, by powszechnym żywiołowym protestem czynu zwalczyć męczarnię bezrobotnych ofiar.

Nie sposób na tem miejscu wyszczególniać odcieni i nasileń nędzy, której bolesne przykłady spotykamy na każdej stronicy ankiety, — nie podobna jednak pominąć milczeniem piękna, tak swoistego, wzruszającego piękna ofiarności, jakie nieodłącznie towaszyszy niedoli bezrobotnych. Nadmieniliśmy już, iż bezrobotni niechętnie korzystają z pomocy instytucyj dobroczynnych, — jest jednak pomoc, bez której marliby jak muchy, a z której korzystają radośnie i którą wspominają ze wzruszeniem. Pomoc ludzi prostych, ofiarność sąsiadów zamożniejszych niekiedy o jedną zaledwie łyżkę strawy, przededewszystkiem jednak ofiarność kobiet, pomoc matek, córek i sióstr, które w ogromnej ilości wypadków są jedynemi karmicielkami swych rodzin.

Podczas, gdy mężczyzn cechuje przeważnie apatja, zniechęcenie do życia i lęk przed daremnością wysiłku, — żony i matki, córki i siostry biegają to tu, to tam, zbierając okruchy przygodnej pracy i okruchy zapłaty, któremi karmią swych mężów i dzieci, swych ojców i rodzeństwo. Jakież mnóstwo bohaterskich czynów kobiecej ofiarności ginie każdego dnia w mrokach zapoznania i niepamięci!

Na ofiarności kobiet bezrobotnych i na niezrodzonej jeszcze, choć świtającej już solidarności bezrobotnych mężczyzn buduje się z dnia na dzień, kamień po kamieniu to czego nie widzimy jeszcze — ich lepsza przyszłość.

Jerzy Życieński

ZWYCIĘSTWA OPIEKI SPOŁECZNEJ

DOŚWIADCZENIA WIEDNIA

„Od miasta piosenki do miasta pracy" — tak scharakteryzował rozwój powojennego Wiednia prezydent Wiedeńskiej Rady Szkolnej — Otto Glöckel. I to jest słuszne. Kto zna Wiedeń z przed wojny lub sądzi o nim z głupawych filmów z Liedtke'm — dozna zawodu. Nie pozostało w nim prawie nic z dawnej wesołości i beztroski.

Cesarski Wiedeń zginął nazawsze wraz z dworem i monarchją. Przyszli nowi ludzie, nowe zadania i nastroje. Nowy Wiedeń przycichł, skupił się w sobie i w wytrwałej pracy. Wyskromniał i spoważniał wobec nowych społecznych perspektyw i politycznych przemian. Jako stolica małego górzystego kraiku, liczącego zaledwie 6½ miljona mieszkańców — stoi dziś Wiedeń wraz z całą Austrją wobec trudności wyżywienia się, okropnej nędzy i olbrzymiego 300.000-nego bezrobocia!

Austrja powojenna — pocięta i odosobniona — nieprzygotowana jeszcze do swej nowej roli — usiłuje dziś żyć przedewszystkiem ze swego przemysłu. Produkcja rolna — w kraju nawpół górzystym i technicznie nie wyzyskanym — nie wystarcza. Wskutek czego co rok wwozi się do Austrji blisko połowę ogólnej konsumcji środków spożywczych (zboże, bydło, towary kolonjalne), oraz (wyjąwszy drzewo i żelazo) prawie wszystkie surowce. Surowców, a zwłaszcza węgla, potrzeba Austrji dla rozwinięcia własnego przemysłu. I tu powstaje zagadnienie tak bardzo ważne dziś w wielu krajach Europy.

Sprawa *rynków zbytu.* Austrja, która drogo opłaca dowóz środków żywności i surowców (brak dróg wodnych), która nie ma taniego kredytu — *musi* (pod grozą zupełnej ruiny ekonomicznej) wywozić swe wyroby przemysłowe zagranicę i *konkurować* z krajami ościennemi.

Cały więc wysiłek dzisiejszych kierowników Austrji (i Wiednia, największego ośrodka przemysłowego) zmierza do tego, aby ta konkurencja była skuteczna t. zn., aby wyrabiać *taniej i lepiej* od swoich sąsiadów.

Jak to osiągnąć? — Socjaliści wiedeńscy zmierzają do tego różnemi drogami.

Ponieważ do przebudowy społecznej dążą ewolucyjnie i ustroju burżuazyjnego narazie w niczem prawie nie zmieniają — jeden ze sposobów konkurencji z zagranicą widzą w stosunkowo niskich płacach robotniczych. A możliwość niskich płac upatrują *w zasadniczem obniżeniu opłat za mieszkania robotnicze.* Przed wojną opłata za nędzne „mieszkanko", robotnika stanowiła 25% całego jego budżetu; dziś w pięknych i widnych domach robotniczych, zaopatrzonych w nowoczesne urządzenia i wygody — wynosi przeciętnie 2%! Osiągnięcie tego właśnie celu jest powodem zaciętej walki z czynnikami burżuazyjnemi o utrzymanie w całej rozciągłości ochrony lokatorów (w dawnych budynkach), oraz podjęcia na olbrzymią skalę budowy nowych tanich mieszkań robotniczych.

Opieka nad dzieckiem wiedeńskiem — tak mądrze i skutecznie zorganizowana — ma za zadanie: wychować należycie młode pokolenie fizycznie i moralnie, spotęgować w niem maximum sił żywotnych, wyzyskać wszystkie jego możliwości, wzbudzić optymizm i chęć do podejmowania nowych zadań, przygotować do ciężkiej walki o byt w nowych powojennych warunkach. Dla Austrji jest to bowiem więcej niż dla któregokolwiek innego państwa. Sprawa bytu samego i przetrwania w trudnych warunkach. To wybitnie *wychowawcze nastawienie* jest bardzo charakterystyczne dla dzisiejszego Wiednia — i jest tam świadomie wysuwane przez elitę rządzącą. „W nas jest wiele rezygnacji — powiedział tenże Glöckel — albowiem zadaniem naszej generacji jest wychować lepsze pokolenie powojenne — i umrzeć!" — Oczywiście, opieka nad dzieckiem łączy się także ze sprawą nowego budownictwa: urządzenia domów (przedszkola, place gier, baseny etc.) uwzględniają w dużej mierze potrzeby dziecka wiedeńskiego.

Wreszcie reorganizacja szkolnictwa wiedeńskiego — tak popularna w dzisiejszym świecie pedagogicznym, a ujmowana często w oderwaniu od stosunków miejscowych — łączy się również najściślej z wychowawczem nastawieniem współczesnego Wiednia. Chcąc przygotować młodzież do nowych trudnych zadań powojennych — należało odrzucić przestarzałe przedwojenne metody wychowania i nauczania, należało szkołę naprawdę zbliżyć do życia i jego dzisiejszych potrzeb. Stąd hasła nowej powszechnej i jednolitej szkoły wiedeńskiej, stąd nowe pomysły w dziedzinie dokształcania fachowego etc. Celem ostatecznym jest ciągle i przedewszystkiem to, aby dziecko wiedeńskie w przyszłości mogło sobie dać radę i utrzymać się na powierzchni w kraju, lub zagranicą, zwłaszcza zagranicą; aby stało się siłą roboczą lepszą, zręczniejszą, pomysłowszą (od innych), bodaj niezastąpioną w jakiejś specjalności — a więc pożądaną; aby przynajmniej w ten sposób na drodze częściowej emigracji rozwiązało jakoś trudny problem gospodarczy współczesnej Austrji.

Takie są podstawowe (gospodarcze) źródła dzisiejszej opieki społecznej Wiednia. Trzeba oczywiście pamiętać, że rozwiązywanie kryzysu gospodarczego właśnie w ramach urządzeń socjalnych jest wyraźnem echem dążeń austrjackiego socjalizmu, który w ten sposób buduje w swojem rozumieniu pierwsze fundamenty pod rozwój kultury proletarjackiej. — Najbardziej interesujące i dziwne zarazem jest na terenie Wiednia właśnie owo współżycie nowej kultury z dawną burżuazyjną — gdyż narazie walka socjalistów z burżuazją wiedeńską ogranicza się jedynie do walki o urządzenia społeczne, oraz do bezwzględnego systemu podatkowego, stosowanego wobec klas burżuazyjnych.

***

Kiedy w r. 1921 — chcąc pobudzić inicjatywę prywatną do budownictwa — zwolniono w Wiedniu nowe budynki i nadbudówki od ochrony lokatorów — nie osiągnięto przez to prawie żadnych wyników. Taki był brak pieniędzy i kredytów w całym kraju. Wobec tego proletarjat wystąpił z inicjatywą *budownictwa społecznego.*

Zdobycie przez socjalistów władzy w gminie wiedeńskiej umożliwiło to (reszta Austrji jest dotychczas pod władzą chrześcij. demokracji). Pierwsze bloki wzniesiono już około 1919 roku (4.000 mieszkań). Ale dopiero w 1923 r. z całą świadomością i rozmachem zabrano się do rzeczy. Postanowiono odrazu zbudować w ciągu 5 lat 25.000 mieszkań. Przepisaną ilość osiągnięto już w 1927 r., w którym powstały dalsze 5.000 mieszkań, a od 1927 do 1932 preliminowano po 6.000 mieszkań rocznie. W 1932 r. ilość nowych mieszkań robotniczych wyniesie imponującą *liczbę 64.000!*

Ten sam rozmach daje się zauważyć nietylko w ilości, lecz i w jakości nowych budowli. Problem: czy budować *miasta - ogrody*, czy *bloki mieszkalne* — musiano rozwiązać z różnych powodów *na korzyść bloków* — chociaż w zasadzie socjaliści wiedeńscy bardziej sympatyzują z systemem miasta-ogrodu i parę takich kolonij pod miastem założyli.

W sposobie budowania zarzucono, oczywiście, wszystko, co przypomina przedwojenne robotnicze nory mieszkalne, budowane dla zysku przez kamieniczników. Domy są nowoczesne pod każdym względem: i w stylu i w urządzeniach kilkapiętrowe, piękne i czyste. Conajmniej połowa obszaru (dawniej do 25%) jest wolna od zabudowań; tu urządza się skwery, ogrody, aleje, trawniki, place zabaw, baseny (do kąpieli i do ślizgawki) i t. p. — wszystko to zastępuje dawne brudne podwórze w dzielnicy robotniczej.

Dawny korytarzowy system mieszkanek robotniczych usunięto zupełnie. Na jednem piętrze są najwyżej 4 mieszkania; najmniejsze — składa się z pokoju (2 okna), kuchni (t. zw. mieszkalnej), przedpokoju i ubikacji; w większych — dochodzi jeszcze pokój i t. zw. gabinet (1 okno). W każdem mieszkaniu jest bieżąca woda, gaz i elektryczność. W każdym bloku, liczącym ponad 400 mieszkań, znajduje się pięknie urządzona nowoczesna *pralnia mechaniczna*, w której każda gospodyni w ciągu 3 — 4 godzin może uprać, wysuszyć i wymaglować swoją bieliznę. (Mamy w spółdzielni na Żoliborzu podobną pralnię, ale o wiele mniejszą od wiedeńskich). W większych blokach są także *przedszkola i świetlice* dziecięce dla dzieci w wieku przedszkolnym, których rodzice pracują. Dla samotnych małżeństw, pracujących poza domem, istnieją nawet bloki ze wspólną obsługę i wspólnym stołem.

Kto zna dzisiejsze „normalne" mieszkania i sposób życia robotników — dobrze rozumie, czem są dla proletarjatu wiedeńskiego owe nowe bloki mieszkalne.

Opłata za te mieszkania jest śmiesznie mała. Za mieszkanko o obszarze 38 m.^{2} (pokój, kuchnia, przedpokój i ubikacja) robotnik wiedeński płaci (wraz z dużym podatkiem od lokalu) zaledwie 7 szylingów miesięcznie (około 9 złotych)!

Najciekawszą bodaj kwestją będzie — w jaki sposób gmina wiedeńska zdobyła się na wzniesienie tylu bloków — z jakich czerpała funduszów? Otóż wszystko płynie wyłącznie z podatków. Już w czasie wojny istniał w Austrji wysoki podatek, nałożony bezpośrednio na kamieniczników: 40% komornego (niezależnie od rodzaju lokali!) szło do kas państwowych. Ten podatek został przez gminę na początku zachowany z tem, że od lokali luksusowych brano więcej, niż od małych kilkapokojowych mieszkań. Część tego podatku szła właśnie na budowę nowych domów gminnych. Dopiero w r. 1923,

w którym rozpoczęto budowę na wielką skalę, zastąpiono dawny podatek od lokali t. zw. podatkiem na budowę (Wohnbausteuer) — i stąd czerpie gmina wiedeńska swoje fundusze budowlane. Podatek jest wysoki i tak rozłożony, że większe mieszkania płacą olbrzymie wprost sumy. Wystarczy powiedzieć, że pałacyki (około 30 pokojów) płacą ogromną sumę 4000 szylingów miesięcznie (5000 złotych) samego podatku, 9-pokojowy lokal — 1000 szylingów (1250 złot.) i t. d. W ten sposób burżuazja wiedeńska częściowo pokrywa wydatki na budowę domów robotniczych.

***

Najciekawszą rzeczą w tej dziedzinie jest sama organizacja opieki nad dzieckiem wiedeńskiem.

Wiedeńska opieka nad dzieckiem podzielona jest na t. zw. zakłady stale i niestałe, oraz na opiekę rodzinną. Postaram się wyjaśnić, co to znaczy.

Dotychczasowy tryb postępowania z dzieckiem (przeważnie sierotą) był taki: posyłano je do najbliższego w okolicy zakładu dla sierot; jeśli było miejsce, dziecko pozostawało w zakładzie; jeżeli nie — kierowano je do najbliższego zakładu, w którym były miejsca wolne. Tak więc punktem wyjścia dla umieszczenia dziecka była *ilość miejsc* w danym zakładzie. Nie było żadnej centralnej instytucji, któraby czuwała nad właściwem umieszczeniem dziecka w odpowiednim zakładzie — a wobec tego, że wszystkie zakłady były naogół do siebie podobne — instytucja taka była nawet zbędna.

W Wiedniu dzisiejszym rzecz ma się inaczej. Jeszcze z czasów wojny zachowała się tu tradycja schronisk dla sierot lub dzieci opuszczonych i porzuconych przez rodziców wskutek działań wojennych. Dziecko pozostawało w takiem schronisku normalnie przez 16 dni (często i więcej), poczem decydowano, co należy z niem zrobić, i kierowano je do odpowiednich zakładów. Na miejscu byli: lekarz i personel wychowawczy. Obserwacje nad dzieckiem, jego dzieje dotychczasowe etc. — spisywano na osobnym arkuszu, który towarzyszył dziecku w dalszem życiu.

Tę oto tradycję socjaliści wiedeńscy utrwalili i rozwinęli, zakładając w r. 1925 osobną instytucję centralną t. zw. *Kinderübernahmstelle, t. j. zbiornię dziecięcą.* Zadaniem tej zbiorni (jak sama nazwa wskazuje) — było zbieranie dzieci (zgłaszających się, bądź przysyłanych przez odpowiednie komitety okręgowe), badanie ich (fizyczne i psychiczne), oraz kierowanie do odpowiednich zakładów, rodzin, szkół i t. p. wychowawczych instytucyj. Zbiornia jest więc zarazem i rozdzielnią.

Nowością w stosunku do dawnych urządzeń jest już samo przyjmowanie dzieci. Przedewszystkiem— przyjmuje się *każde* dziecko zgłoszone. Powtóre — zbiera się nietylko sieroty lub dzieci nędzarzy (jak dawniej) — lecz także dzieci niedorozwinięte, głuchonieme, niewidome, ułomne (fizycznie, moralnie etc.), wreszcie dzieci pozbawione z jakiegokolwiek powodu opieki rodziców (aresztowanie rodziców, czasowe przebywanie w szpitalu, bezdomność, bezrobocie i t. p.).

Urządzenie zbiorni jest wzorowe. Jest to budynek słoneczny, kilkopiętrowy, z wielkim dziedzińcem do zabaw — zbudowany tak, aby w razie wybuchu choroby zakaźnej można było natychmiast chorych izolować od reszty dzieci. W tym celu każde piętro podzielone jest szklanemi przegrodami na szereg kabin; każda — z osobnym balkonem lub tarasem jest zamkniętym dla siebie światem. Wszystko tu jest czyściutkie i bielutkie, wszystko świeci białemi kaflami i szkłem.

Zbiornia jest rodzajem kwarantanny dziecięcej. Kto tu wchodzi, może wyjść dopiero po 20 dniach. To też niemowlęta (w razie odpowiedniej opinji lekarskiej), przyjmowane tu są wraz z matkami! Przy przyjęciu dziecko zostaje zbadane, wykąpane, w razie potrzeby odwszone i w czystej odzieży przesłane nagórę, do jednej z kabin. Tu przez 20 dni pozostaje pod swobodną obserwacją lekarza i wychowawczyni, którzy spisują swoje uwagi na odpowiednim arkuszu. Po 20-dniowym terminie ustala się, czego dziecku brak i dokąd je należy skierować.

„Instytucją", do której lekarze i wychowawcy zbiorni wiedeńskiej starają się przedewszystkiem kierować dziecko, jest *rodzina* — bądź własna rodzina dziecka, bądź też „wychowująca" (Ersatzfamilie). Opiera się to na *charakterystycznym i podstawowym dla socjalistów wiedeńskich poglądzie, że „rodzina jest nietylko biologiczną, lecz także społeczną i etyczną komórką społeczeństwa".* Z tego stanowiska zrozumiała jest sympatja socjalistów wiedeńskich dla domków rodzinnych w nowoczesnych miastach-ogrodach. Stąd powstaje też dążenie do „rodzinnego" sposobu wychowywania dzieci. Społeczna opieka nad dzieckiem ma więc za główne zadanie wykolejone dziecko znowu wprowadzić do rodziny, by uczynić je przez to normalną cząstką ludzkiej społeczności.

W myśl tych zasad zbiornia stara się przedewszystkiem przywrócić dziecku jego własną rodzinę. Jeśli się to nie udaje, albo jeśli zostaje stwierdzone, że właśnie rodzina wywiera wpływ szkodliwy — dziecko oddaje się do rodziny „wychowującej". Rodziny te zgłaszają się same do zbiorni, która płaci za dziecko, łoży na naukę i odzież, oraz z pomocą osobnych wychowawczyń nadzoruje, czy dziecku dobrze jest w obcej rodzinie, czy mu się krzywda nie dzieje i czy zastosowane środki są właściwe. Wyniki wychowawcze takiego współżycia są najlepsze, a nierzadko dochodzi podobno do adoptacji dziecka przez wychowującą je rodzinę. W ten sposób zbiornia dziecięca, która rocznie bada około 4000 dzieci— jednocześnie ma pod swą opieką blisko 18.000 dzieci, umieszczonych w rodzinach, lub poprostu w zakładach wychowawczych.

Zbiornia wiedeńska przyjmuje w zasadzie wszystkich — ale szczegółowo bada głównie dzieci młodsze (do lat 6), kierując starsze, trudniejsze do zbadania, na dłuższy pobyt do innego, równie niezwykłego zakładu. *(„Wilhelmineuberg").* Zadaniem jego jest również wszechstronne zbadanie dziecka i skierowanie go na właściwą drogę.

Jest to olbrzymi piękny pałac, odkupiony przez gminę wiedeńską za drogie pieniądze od byłego książęcego właściciela. Pałac otoczony jest olbrzymim parkiem, wynoszącym 600.000 m.[2] przestrzeni (prawie jak nasze Łazienki!). W zakładzie mieści się około 250 dzieci, które przebywają tu od 4 tygodni do 3 miesięcy, a czasem i dłużej.

(dok. nast.). **Stefan Kłoński**

PRZEGLĄD GOSPODARCZY

Zapowiadana przez nas w jednym z poprzednich numerów obniżka stopy procentowej Banku Polskiego stała się faktem dokonanym. W dniu 21 października r. b. instytucja emisyjna zredukowała stopę dyskontową z 7½ na 6%, a oprocentowanie pożyczek lombardowych z 8½ na 7%.

W ten sposób stopa oficjalna osiągnęła obecnie najniższy poziom od chwili stworzenia Banku Polskiego.

Na decyzję Rady Banku w sprawie obniżenia stopy procentowej wpłynęły niewątpliwie trzy zasadnicze względy— zbyt wielka rozpiętość między kosztami kredytu w Polsce, a w innych państwach, znaczny wzrost pokrycia kruszcowo-walutowego instytucji emisyjnej, a wreszcie — najważniejszy — konieczność przyjścia z pomocą przemysłowi, rolnictwu i handlowi, obciążonym zbyt wielkiemi kosztami kredytu i ulżenia pośrednio dzięki zapoczątkowaniu akcji taniego pieniądza szerokim sferom konsumentów miejskich i wiejskich.

Stopa procentowa Banku Polskiego utrzymywała się na dotychczasowym poziomie przeszło dwa lata, gdyż od 3 października 1930 r., pomimo, że oprocentowanie w innych bankach emisyjnych wykazywało w ciągu tego okresu częste i duże zmiany. Szczególnie silnie zdrożał zagranicą pieniądz w okresie znanego krachu finansowego i walutowego w drugiem półroczu 1931 i w początkach bieżącego roku. Ostatnie miesiące przyniosły wraz z optymizmem, który opanował na pewien czas rynki światowe, falę taniego pieniądza. Wszystkie większe instytucje emisyjne obniżyły poważnie stopy procentowe, niektóre nawet kilkakrotnie, a w ślad za niemi poszły banki prywatne, kasy oszczędności, spółdzielnie kredytowe i t. p. Pomiędzy kosztami kredytu w Polsce, które i tak normalnie są znacznie wyższe, niż w innych krajach, powstała jeszcze większa rozpiętość, która dawała się dotkliwie odczuwać gospodarstwu polskiemu.

Polska instytucja emisyjna przez długi czas wahała się, czy pójść za przykładem zagranicy, dopiero stała od szeregu tygodni poprawa sytuacji, zwłaszcza jeśli chodzi o pokrycie kruszcowodewizowe, przyśpieszyła jej decyzję. Albowiem w okresie od 31 lipca do 20 października r. b. rezerwy kruszcowo-walutowe Banku Polskiego wzrosły pomimo wielkich płatności z tytułu rat amortyzacyjnych i odsetek od długów zagranicznych, o przeszło 8 miljonów do kwoty 528,6 miljonów złotych, a równocześnie pozycja obiegu biletów bankowych i natychmiast płatnych zobowiązań zmniejszyła się łącznie o 70,7 miljonów do kwoty 1.173,794,901 zł. Wskutek tego pokrycie kruszcowo-walutowe tych dwóch pozycyj podniosło się z 41,81% na 45,04%, a pokrycie wyłącznie złotem z 38.58% na 41,99%. Dzięki temu Bank Polski posiada dzisiaj najwyższe pokrycie w całej Europie środkowej i wschodniej.

**
*

Równocześnie z redukcją stopy Banku Polskiego ukazało się rozporządzenie ministra skarbu, obniżające maksymalną granicę dopuszczalnej stopy procentowej, jaką pobierać mogą instytucje kredytowe i osoby prywatne z 15 na 12% w stosunku rocznym.

Oba te zarządzenia zapoczątkowujące akcję taniego pieniądza, stanowią dalszy krok do obniżenia kosztów produkcji, a tem samem do przyśpieszenia procesu zniżki cen artykułów przemysłowych, zwłaszcza skartelizowanych i powiększenia zdolności konkurencyjnej naszego przemysłu na rynkach zagranicznych. Rzecz oczywista, że redukcja stopy oficjalnej i przymusowe regulowanie procentu nie załatwiają jeszcze sprawy. Ażeby życie gospodarcze odczuło faktycznie potanienie kredytu, koniecznem jest w pierwszym rzędzie obniżenie przynajmniej o 1½ do 2% dyskonta bankowego, wynoszącego obecnie 11% i kosztów kredytu dyskonterów prywatnych, z którego korzystają wciąż jeszcze w znacznej mierze: drobny przemysł, rolnictwo i handel, a dalej zredukowanie nadmiernych odsetek za zwłokę przy zaległościach w podatkach i świadczeniach publicznych.

Należałoby także wpłynąć na obniżenie wysokich odsetek w lombardach, wynoszących dziś jeszcze, w dobie ciężkiego kryzysu i ogólnego zubożenia ludności, blisko 2% w stosunku miesięcznym. Pobieranie tak wygórowanych procentów przez zakłady zastawnicze jest tembardziej nieuzasadnione, że ponoszą one znacznie mniejsze ryzyko. aniżeli inni kredytodawcy, przyjmując jako gwarancję zwrotu pożyczki, zastawy, pokrywające kilkakrotnie uzyskaną przez pożyczającego sumę. Nic też dziwnego, że towarzystwa te pracują z dużemi zyskami i wypłacają swoim akcjonarjuszom wysokie dywidendy, sięgające w niektórych wypadkach do 20%.

**
*

O ile potanienie pieniądza nastąpi na wszystkich wyżej wymienionych odcinkach, spodziewać się należy znacznej poprawy sytuacji. Ażeby jednak ożywienie było ogólne i trwałe, wraz z potanieniem kredytów musi nastąpić większy ich dopływ do życia gospodarczego. W ciągu ostatnich miesięcy dało się zauważyć szczególnie duże zwężenie działalności kredytowej. Bank Polski zredukował w okresie od 31 lipca do 20 października portfel wekslowy o blisko 93 miljony zł. i pożyczki zastawowe o 13 miljonów, a banki akcyjne i największe domy bankowe zmniejszyły w 8-iu miesiącach b. r. kredyty dyskontowe o 69,6 miljonów i kredyt otwarty o 92,1 miljonów zł. Z życia gospodarczego odpłynęła więc poważna suma, co odbija się dotkliwie na rynku, tak ubogim w kapitały, jak polski.

Chwilowo niema widoków, ażeby Bank Polski i prywatne instytucje pieniężne miały zwiększyć wydatniej swą działalność kredytową. Mogłoby to nastąpić tylko w razie wzmożonego przypływu do kas bankowych kapitałów krajowych i zagranicznych. Posiadamy w Polsce jeszcze znaczne kapitały, są one jednakże ulokowane bądź to w bankach zagranicznych, często nawet bezprocentowo, bądź też ukryte w kufrach i pończochach.

Sumy tylko w walutach obcych i złocie, złożone w schowkach domowych szacowane są dzisiaj na przeszło 100 miljonów dolarów, t. j. na sumę, jak na nasze stosunki, bardzo dużą. Jeśliby choć połowa tej sumy wyszła z kufrów i wpłynęła do kas bankowych, nastąpiłoby bez wątpienia znaczne ożywienie życia gospodarczego. Banki państwowe i kasy oszczędności mogłyby wydatnie rozszerzyć kredyty długoterminowe, tak potrzebne dla rozwoju poszczególnych dziedzin życia gospodarczego, banki akcyjne mogłyby zwiększyć kredyty krótkoterminowe.

Dopływ kapitałów krajowych do gospodarstwa spowodowałby niewątpliwie większy przypływ kapitałów obcych, które, między innemi, nie przychodzą do nas także i z tej przyczyny, że finansiści zagraniczni widząc, iż kapitał krajowy nie ma zaufania do własnego rynku, nie kwapią się do lokowania swych kapitałów w Polsce.

Wzrost kapitalizacji wewnętrznej i przypływ kredytów zagranicznych pozwoliłby na rozpoczęcie większych robót inwestycyjnych, co pociągnęłoby za sobą ożywienie we wszystkich gałęziach przemysłu i w konsekwencji odbiłoby się także pomyślnie na rolnictwie i handlu. Spadłaby liczba bezrobotnych, a ilość konsumentów znacznieby wzrosła. Ciułacze „domowi", oddając pieniądze do instytucyj pieniężnych, zyskaliby nie tylko oprocentowanie leżących dotychczas bezrentownie kapitałów, ale osiągnęliby także pośrednio duże korzyści w związku z poprawą ogólnej sytuacji gospodarczej, nie mówiąc już o tem, że odpadłby im stały czynnik ew. strat na chowanych do kufrów walutach zagranicznych i w złocie.

Tezauryzację w obcych walutach, wynikłą z braku zaufania, może zmniejszyć usunięcie przeszkód, hamujących kapitalizację, oraz wytężona praca propagandowa. Należy uświadomić społeczeństwo o szkodliwości tezauryzacji z punktu widzenia ogólno-państwowego i osobistego. Jeżeli zaś chodzi o ludność wiejską, szczególniej nieufną i płochliwą, to trzebaby było pracować w kierunku uświadamiania jej, że lokata w bankach czy kasach oszczędności daje pełną gwarancję bezpieczeństwa, że lokowanie w walutach obcych jest nonsensem, ponieważ stałość kursu złotego nie nasuwa żadnych wątpliwości.

Ściąganie wkładów oszczędnościowych tylko obietnicą wysokiego oprocentowania należy uważać za błędne, ponieważ zasadą wkładu oszczędnościowego powinno być przedewszystkiem bezpieczeństwo i nienaruszalność. Dlatego też dla pozyskania wkładców konieczne jest możliwie częste ogłaszanie bilansów i odpowiednie informowanie w przystępnej dla każdego formie o stanie interesów danej instytucji, a w szczególności objaśnianie, na jakie cele powierzane jej kapitały są zużywane.

Wspomniane wyżej posunięcia przyczynić się mogą w dużej mierze do zmniejszenia tak szkodliwej dla życia gospodarczego tezauryzacji i przyciągnięcia kapitałów do pracy twórczej.

Alfred Wilecki

LATAJĄCY HOLENDER

FRAGMENT POWIEŚCI

III.

Taki — to najgorszy. Krzyczysz i stukasz, a jemu nawet ucho nie drgnie. Równo, sztywno sterczy przy kierownicy i obiema rękami durch taksówkę pogania. Teraz wolniej. Dlaczego teraz zwolnił? — Acha, już most, dlatego...

Rzeczywiście pomalutku wjechał Wańgoł na most. Zaraz potem nakazał maszynie, by łagodnym truchcikiem po moście jechała, a sam znowu się zamyślił. Już przed chwilą z jakowejś latarni oderwał się jakowyś ptak, a chociaż rychło zagubił się i uciekł przed spojrzeniem, to jednak razem z oczami Wańgoł na niebie już został. Po jednej myśli wspiął się jak po drabinie, aż do chmur, a drugą myślą spuścił się po błękicie w lewo i trochę w tył, tam właśnie, gdzie powinien być Żoliborz. Skroś zamyślenie załomotało serce. Niebo. Ptak. Hela.

Oblizał się Wańgoł i przypuścił pędu. W gwałtownych susach maszyny brał teraz pod siebie wyboistą drogę biegnącą mu na spotkanie równolegle z parkanem Skaryszewskiego parku. Coś drażniącego przyjemnie miał ten nierówny pęd, pełen tarcia i zahaczeń o wyboje drogi kamienistej i o śmiejące się nieprzerwanie wspomnienie Heli.

Z tyłu znów się Franuś rozpostarł na poduszkach, uspokojony widocznie i bezpieczny. Najbardziej bał się, by zaraz za mostem nie skręcił Wańgoł na Czerwoną Drogę i nie wywiódł taksówki na szosę rembertowską. Okazało się jednak, że strach był płonny, Wańgoł bowiem wracał do ludnych ulic, do Targowej, do Dworca, do Cerkwi.

Miał teraz przy samych uszach długie warkocze śmiechu, pełne to tu, to tam powplatanych słów. Gdzieś w myślach ciemna noc wciągnęła słońce razem z dniem pod łóżko, a w mrokach nocy zagubiony oddech wędruje poomacku po Helinej twarzy. Nietylko oddech i nietylko po twarzy, bo i ręce i całe ciało.

Znowu ulica. Gumowa trąbka z pasją rozpędza krótkiem a sio! a sio! przechodniów pierzchających po szerokiej jezdni. Znowu ulica, a potem znowu Hela. Myślałby głupi, że jest, a przecież wcale niema żadnej szczególnej różnicy między ulicą i pomiędzy Helą. Obie one w myślach Mikołaja w jeden krajobraz się łączą, tem tylko inne i różne, że ponad jedną — noc, a ponad drugą dzień się wznosi. Droga ta sama.

Trzaska, drze się i pędzi drżąca maszyna po ulicy, a w myślach Hela nanowo się objawia. — Weź ręce! — Zabieraj ręce! — szepcze Mikołaj skroś ciemne powietrze, a ona ręce cofa pierzchliwie i ze śmiechem, niby przechodnie z jezdni, z przed taksówki swe własne życia.

Za chwilę już niepomna, zajęta, a nieuważna, wykłada mu na słowa, niesione przez śmiech, swój cały dzień dzisiejszy, wszystkie swe posługi. Są tam domy, w domach są mieszkania i sklepiki znajome, pełne różnorakich państwa, cen mięsa i pieczywa i mebli w pokojach. Pod kuchnią się pali, w piecu jeszcze nie, chociaż kwiaty już więdną na oknach i muchy na ścianach zasypiają. Mycie podłóg, potem drzazga w palcu, potem kłótnia z panią starszą i przypalona pieczeń, — potem list znaleziony przy liczeniu brudów u tamtych kawalerów z przeciwka, — ciekawy list, a potem... Wszystkie te domy, wszystkie te mieszkania i sklepy pełne towaru i ludzi, mija Mikołaj w pędzie, w drżącej jeździe oddechu po oddechu Heli, w rozpędzonej taksówce po jej piersiach. Szept słów go ściga i chichot śmiechu goni, podobny do ulicznego gwaru na chodnikach, a on leci przed siebie, gładką jezdnią pruje, w coraz to nowe zapędza się ulice i do Heli spieszy, do Heli się rwie — — by ją odnaleść wreszcie całą i zupełną w głębokim, w bezkreśnym, we śnie....

***

Czy to już most Kierbedzia przejechany? — — I Nowy Zjazd? I plac Zamkowy? — — Skręca Mikołaj z ulicy Miodowej w Długą, z Długiej we Freta, z Freta... i już. Staje taksówka, oczy mruży, jakby z głębokiego snu nagle wyjechała. Znika łóżko i Hela na łóżku, zato na liczniku osiem złotych dwadzieścia, a na niebie i na jezdni słońce niespodziane.

Dłoń chora jeszcze na drżenie kierownicy w kieszeń się zagłębia, uciekające złotówki po kieszeni goni, a potem płaci, moneta po monecie, na niewierną, zadziwioną dłoń Franciszka. Starczyło. Zapłacone. Teraz uścisk dłoni, uśmiech wymuszony i kilka koniecznych słów.

Pokazuje wreszcie Wańgoł Franciszkowi plecy i oddala się zwolna. Chodnik prosty i równy, skądże tedy to uczucie głupie, jakby z każdym krokiem coraz to niżej zagłębiał się w piwnicy po szczękających stopniach?

Jeszcze przed godziną cieszył się jak dzieciak z nowej posady u Warczaka, teraz zaś wyrywa z korzeniami wszelką myśl o Bocianie - Autobusie, jak coś podejrzanego ogromnie. Warczak, który nanowo w myśli mu się ukazał ma minę hycla i zdaje się mówić: — Nie licz na mnie, bo z Bocianem Autobusem... nici!

Ach, te piętnaście złotych! Popsuły one Wańgołowi cały rozkład dzisiejszego dnia. Od Warczaka miał przecież zajść do warsztatów tramwajowych na Młynarską, gdzie złożył był przed tygodniem podanie i gdzie się spodziewał pomyślnej odpowiedzi. Z tamtąd znowu powinien koniecznie do „Citroena" zajrzeć na Powiśle, bo ma tam kilku znajomych, którzy mu się również starają o miejsce.

Ale piętnaście złotych, wzięte u Warczaka popsuły wszystko. Nie mógł przecież z pieniędźmi w kieszeni za pracą chodzić po Warszawie, musiał je wydać przedtem, wydać musiał koniecznie. No i wydał wreszcie, tylko jak cholera, tak dużo czasu zabrało mu to zajęcie. Już południe... Toż prędzej by poszło całe piętnaście złotych wypić odrazu w wódce, lub kaszkiet nowy kupić, lub wogóle nie brać wcale u Warczaka, nie zawracać sobie głowy Bocianem - Autobusem, jednym autobusem na taki szmat przestrzeni, jak Lwów, Warszawa i znowu Lwów.

Znów przyszedł strach i znów daleko za lękiem zajaśniał w myślach dom ojcowy, klęczący w śniegu przy drodze, jak żebrak. By się oderwać od jego widoku przypomniał sobie Wańgoł klucz zabrany na posługi przez Helę. Jednocześnie przypomniało mu się jedno słowo dziwne, przeczytane dawno, może przed miesiącem w gazecie. — *Pretekst*... dziwne słowo, faktycznie... *Pretekst*... Z jednej strony pretekst, — z drugiej strony klucz...

Jerzy Kornacki

WOLNA TRYBUNA

WCZORAJ I DZIŚ NA PARNASIE POLSKIM

Literatura dla naszego narodowego życia była w czasach niewoli naszem państwem. Było to państwo nieterytorjalne, bezwymiarowe, nie istniejące na mapie, ani nie uznawane przez obcych, a jednak potężne. Państwo to zakreślało uświadomienie ducha narodowego i w różnych momentach było co do wielkości i mocy różne, zawsze jednak elementem państwowo-twórczym było słowo. Słowo zawierało całą powagę i surowość sądu, stanowczość rozkazu, opiekę i oświatę społeczną. Było ono orędzem przeznaczonem zawsze dla dusz i na ich moc i pojemność tylko obliczonem. A skoro słowo było potęgą, czemże byli jego twórcy?

Ich siły i znaczenia nie wyrażają określenia takie jak kapłan, wieszcz i t. p., lecz ich ideał ucieleśniony w słowie. Nie sposób wypowiadania, nie forma była źródłem ich wielkości i siły; źródłem był ich ideał, który tworzył formę słowa i dawał „rząd dusz". Bowiem form, czyli najrozmaitszych izmów w ciągu wieku naszej niewoli było wiele: ideał był tylko jeden — wolna ojczyzna. Ideał ten nie był zawieszony tylko w słowie, lecz w duszach, stąd jego powszechność i żywotność. Dzieło pisarza, to tylko jeden strumień olbrzymiej rzeki ideału. Był wielki twórca i wielki ideał, był liczny ideału tego konsument. Dziś wszystko stało się grobem i popiołem, i aby szkielety zgalwanizować, potrzebna jest ta moc ducha i wielkość uczucia, jaka im nadawało życie.

Miłość ojczyzny i dążenie do jej wyzwolenia, było głównem źródłem natchnienia i mocy pisarzy czasów niewoli. Odzyskanie wolności jest równoznaczne z utratą tego źródła. Pisarze zbyt nagle zostali zaskoczeni wolnością, a Polska rzeczywista stała się inną niż ta, którą każdy pisarz w sercu swem wychował, ucieleśnił w pieśni. Krwią należało wypisywać granicę, każdą dziedzinę życia społecznego tworzyć i organizować. A twórca do pracy organizacyjnej był najmniej przygotowany. Mógł on czynnie brać udział w walkach orężnych, mógł w okopach tworzyć dzieła i podnosić ducha żołnierza— pracować społecznie nie potrafił. Twórca, często ranami uwieńczony, przyklęknął, przyłożył ucho do ziemi wolnej, by bicie serca własnego usłyszeć i nie usłyszał go. Zamiast minionej sławy, miast radości z wyzwolenia, usłyszał giełdziarskie wrzaski i walki o intratne w tej ojczyźnie posady. Wszyscy stali się wierzycielami ojczyzny — prócz żołnierza i twórcy.

Jakże szczęśliwy był Słowacki gdy wierzył, że chwila wielkiej radości całego narodu z godziną wolności nadejdzie, a jak smutny Żemorski, który godziny tej dożył. Jeżeli kto — to właśnie „ostatni Wajdelota", który najwięcej posiadał, a więc i najwięcej na rzecz wolności utracił, pragnął zapadające się fundamenty ideału ratować. W wielkim trudzie stworzył „szklane domy", by w dniu śmierci ujrzeć w nich znów to, czem karmił swe serce przez całe życie: wolną i wielką ojczyznę. I odszedł... A ci co pozostali nie pojęli treści niedokończonego dzieła. „Wiatr od morza" nie orzeźwił i nie wzmocnił ich ducha, odzyskanie ojczyzny, jak odpływ morza, osadziło ich żaglowce na m i e l i ź n i e.

Warunki materjalne zmuszają szerokie warstwy do ciężkiej pracy, miljony bezrobotnych do walki o p r a w o do ż y c i a. Literatura niema tam wpływu, gdzie panuje g ł ó d. Pisarz stał się pozorem: czerpiąc natchnienie z pracy i wysiłku robotnika, n i e z n a ł ani robotnika, ani jego pracy. „Prostoty" jego słowa prostaczkowie nie zrozumieli, a nowy stan powojenny półinteligentów pragnął nie śpiewu o pracy, lecz narkotyku, by poruszyć nerwy.

Tych, którzy wysoko dzierżyli sztandar natchnienia, ludzi o wielkich zdolnościach odczuwania i obsewacji, a o potężnej, żywiołowej miłości, złożyliśmy i co rok składamy do grobu. Żyje wprawdzie jeszcze twórca „Duchów", żyje piewca „Skalnego Podhala", żyje autor „Łąki", żyje twórca „Oziminy", żyje polski Apollo - Staff, żyje Sieroszewski, ale wszyscy oni wychowali już swe pokolenie. Patrzą, jak też tworzą i co tworzą ich wychowankowie, czy wypowiadają to, czego im cenzura w dniu ich młodości nie pozwoliła wyśpiewać. Stoją oni jak samotne, a potężne dęby i szumią rozrosłemi konarami o minionem życiu. Rośliny i krzewy wokół nich kwilą: nie nasza wina, „Takiem jest życie"' i „Dzień dzisiejszy".

Niektórzy usprawiedliwiają obecny kryzys literacki kryzysem gospodarczym. Sądzimy, że tłumaczenie podobne nie wytrzymuje krytyki. Wielkiej literatury polskiej czy światowej nie stworzył dobrobyt materjalny. Genjusze gorącą mieli krew i podarte spodnie. Kryzysu literatury polskiej należy zatem szukać nie w ubóstwie materjalnem, nie w takich czy innych warunkach społecznych, lecz i to wyłącznie, w u b ó s t w i e d u c h o w e m.

Najnowsza literatura, ani zła ani dobra, w y m i j a życie. Poeta najobojętniejszy w głębi ducha często z mozołem, a zawsze z ignoracją robi wiersze o pocie, o żylastej czarnej ręce, o maszynie, młocie, pługu... tylko dlatego, że inni tak piszą, że tak „wypada". Budowa wiersza musi być prosta, niewymuszona, metafora realna, porównanie raczej soczyste i zmysłowe niż umysłowe, rym nowy, całość ma być dźwięczna. Wiersz winien muzyką i naiwną prostotą porywać, zachwycać. I poeta cyzeluje wiersze, obrabia, przestawia wyrazy, zmienia układ dopóty, dopóki w wierszu nie pozostanie nic z treści, nic z romantycznego uczucia.

Chłop nie znajdzie w poezji ani przyrody, ani swej ciężkiej orki, ani nic własnego. Robotnik nie zrozumie tych litanij i hymnów z pracą, potem i młotem, choć to niby i proste i jego. Wzruszy on ramionami i przejdzie obok po raz setny, czy tysięczny, podjąć wysiłek, zrosić czoło, nie wiedząc, że ktoś zna jego trud, ba, wielbi go w pieśni. Półinteligent „z zasady" o potach, młotach i prostotach nic nie czyta. Pozostaje jeszcze „elita", nieliczna, która w życiu pracy i bohaterów nie widzi, lecz papierowymi może się rozczulać. Mówienie o niczem a z patetyczną „prostotą" jest najcharakterystyczniejszą cechą współczesnych poetów. W całej najnowszej literaturze polskiej niema bohatera czy bohaterów żywych, niema ludzi z któremi możnaby pracować i odpoczywać, kochać i nienawidzić, śmiać się i płakać. Są tylko nazwiska bohaterów, które zapominamy zaraz po przeczytaniu książki.

Nie mamy pisarzy, którzyby w życiu, jakie się staje, znaleźli człowieka. Dopóki nie objawi się nam jakiś wielki talent, dopóty będzie trwał „kryzys", dopóty będziemy starali się „sytuację" p r z e m i l c z a ć.

Józef Grzelka

LISTY DO «EPOKI»

Wielce Szanowny Panie Redaktorze!

Czytając Pańskie pismo, przekonałem się, że Pan jedynie może mi w czemś dopomóc w mojej biedzie ,a mianowicie dobrą radą. Otóż postanowiłem zwrócić się do Sz. Pana Readktora z wielką prośbą o umieszczenie mego listu w „Epoce" i udzielenie mi swej mądrej rady.

Może też te kilka szczerych słów Sz. Pana, wydrukowanych w odpowiedzi dla mnie przyniosą mi choć cień ukojenia w mej rozterce życiowej.

Jestem b. legjonista, obecnie inwalida z powodu uszkodzenia kręgosłupa. Z tego też powodu jestem zmuszony przebywać w zakładzie św. Antoniego dla paralityków w Częstochowie, pod opiekuńczym skrzydłem sióstr miłosierdzia. Mało która z dziedzin opieki społecznej jest u nas tak zaniedbana, jak zakład św. Antoniego dla paralityków. Opieka nad paralitykami w wyżej wymienionym zakładzie jest poprostu znikoma. I taki stan istnieje u nas wówczas, gdy nowoczesna opieka nad takiemi nieszczęśliwcami we wszystkich państwach kulturalnych zrobiła ogromne postępy, traktując tych nieszczęśliwców w imię człowieka.

O zmorze nędzy jaką przeżywamy szkoda się rozwodzić, bo ta grasuje w całej Ojczyźnie, cierpi ją cały naród (chłop i robotnik), o tem bębnią wszystkie oddane ludowi gazety.

Z tem możnaby się jeszcze pogodzić, bo już i tak jesteśmy straceni dla społeczeństwa. Lecz najgorsze to, że nie mamy żadnej rozrywki, żyjemy jak te dzikie zwierzęta wśród tak zwanej kultury 20 wieku, nic nie wiemy, nic nie słyszymy co się na świecie dzieje.

A możnaby i dla nas przesłać słowa pociechy tak dogodnem cudem techniki dwudziestego wieku, jakiem jest obecnie radjo.

Wiem ja z własnego doświadczenia, ile to się chory człowiek nabiedzi, ażeby się nie poddać czarnym myślom zwątpienia i rozpaczy.

Jesteśmy ludźmi upośledzonemi przez los, odłączeni od społeczeństwa i rodziny, całą naszą pociechą i pokrzepieniem byłoby radjo. Jakie bądź, byleby tylko słuchać jego głosu i nie mieć czasu myśleć o strasznem beznadziejnem położeniu nas nędzarzy.

Nie wątpię, że Sz. Pan Redaktor, znając pragnienie chorych, doradzi nam gdzieby się zwrócić, żebyśmy mogli otrzymać te pociechę, jaką daje radjo.

Na kupno nas nie stać, bo jesteśmy biedni utrzymywani na koszt magistratu m. Częstochowy. Zakład dla nas tego nie zrobi. Przełożona tego zakładu stale się żali, że magistrat nie chce płacić, więc inaczej dać nie może.

To też nic dziwnego, że chorzy z tego powodu muszą cierpieć. Rozumiemy to, że jesteśmy ciężarem dla społeczeństwa, lecz dlatego tylko mamy cierpieć, że jesteśmy biedni i niedołężni.

O ile to społeczeństwo uważa, że jesteśmy ciężarem, to powinno nas usunąć z tego łez padołu, lub dać możność to dużo się znajdzie takich, co sami się usuną. Ile jest takich, co już by dawno skończyli z tem pieskiem życiem, lecz nie mają możności, więc muszą się męczyć nadal. Jest nas tu paru takich, którzy byli kiedyś potrzebni Ojczyźnie, a dzisiaj nie potrzebni nikomu.

Przeklęty przez miljony nędzarzy ten ustrój kapitalistyczny, dogorywa. Lud pracujący i Czas zbudują Nową Historję — odbudują ten zgrzybiały świat.

W zakończeniu mego listu, zwracam się jeszcze raz do Sz. Pana Redaktora, żeby Pan przemówił do tych serc zakamieniałych, co mają dużo, a wyciskają ostatnie soki żywotne z tych, co nic nie mają.

Zechce Sz. Pan Redaktor przyjąć wyrazy szacunku i poważania.

Leon Łaganowski

Częstochowa, Zakład Św. Antoniego.

Przyp. Redakcji. Na prośbę p. Łaganowskiego zwracamy uwagę Polskiego Radja. Bardzoby to było pięknie, gdyby Polskie Radjo ofiarowało chorym w Zakładzie Św. Antoniego w Częstochowie choćby jeden detefon.

ODPOWIEDZI REDAKCJI

Panu Ludwikowi M. w Brześciu n/Bugiem. W liście, który zamieściliśmy w poprzednim numerze „Epoki" porusza Pan wielką sprawę wychowania młodzieży. Szuka Pan argumentów, któreby można przeciwstawić kultowi siły fizycznej, zmaterjalizowaniu młodzieży, karjerowiczostwu, cynizmowi. Boleje Pan nad tem, że wnukowie Pańscy wychowywani są tak, jak kandydaci na „wilków", nie na ludzi szlachetnych. I pragnie Pan znaleźć wzory, które mógłby Pan wskazać swoim wnukom, ażeby mieli nietylko dobry przykład moralny, ale i dowód, że nie wszystko w życiu ludzkiem układa się pod znakiem pięści, że w walce o byt zdobywają dobre pozycje życiowe nietylko brutale i cynicy. Czyni Pan przytem ważną i mądrą uwagę, że dobroci i szlachetności nie należy utożsamiać z niedołęstwem.

A więc — wzory. Jeżeli chodzi o literaturę — o czem Pan wspomina — mamy tu obszar tej sprawy ogromny, wzorów cnoty połączonej z siłą i dzielnością — bez liku, choćby od Plutarcha począwszy, który i dziś jest tak samo „aktualny", jak dwa tysiące lat temu, daje bowiem galerję typów nieśmiertelnych. Przeszłość świata ludzkiego, zadokumentowana w literaturze, pozostawiła nam wielkie bogactwo wzorów moralnych, takich właśnie, które łączą podniosłość ducha z mocą charakteru, woli, stanowczości.

Sądzimy jednak, że wychowawcy wnuków pańskich nie przyjmą argumentów, zaczerpniętych z literatury. Odpowiedzą banalnie i powierzchownie, że „co innego literatura, a co innego życie". Zwykły to wybieg ze strony tych, którzy o literaturze żadnego nie mają pojęcia. Lepiej takim przeciwstawiać argumenty „z życia", a w danej sprawie z rzeczywistości dzisiejszej. Właśnie na obrazie współczesnego świata widać dobrze, że brutalność, siła fizyczna, przemoc, wyrachowanie — srodze zawodzą. Wszystko się dzisiaj załamuje i z tego również powodu: zbyt wielką przypisywano wagę siłom fizycznym, nie dostrzegając znaczenia sił moralnych, zarówno w życiu jednostek, jak i w zbiorowości ludzkiej.

Zresztą na najwęższym nawet terenie, tam gdzie Pan mieszka, w Brześciu nad Bugiem, znajdzie Pan przecież najżywsze, najlepsze argumenty. I w tem mieście, jak wszędzie na świecie, znajduje się napewno sporo ludzi zacnych, szlachetnych, moralnie czystych, a przecież nie niedołęgów. Nie przegrali swego życia, chociaż nie są „wilkami".

Kształcenie w sobie „wilka", to — mówiąc trywjalnie — zła kalkulacja. Na rynku ludzkim mamy tych „wilków" pewną nadprodukcję, to też towar „wilczy" spada w cenie... Niech to wezmą pod uwagę wychowawcy Pańskich wnuków.

Panu Konstantemu W. w Dęblinie. Zamieszczamy w „Epoce" te tylko listy, które mają swoją wymowę społeczną i stanowią dokument naszych czasów.

Pani Stanisławie K. w Sosnowcu. O bylejakich książkach nie piszemy.

Panu Janowi N. w Warszawie. Zagadnienia związane ze sprawą wymiaru sprawiedliwości będą często poruszane w „Epoce".

TREŚĆ NUMERU:

Wydarzenia i dokumenty: Czy to możliwe? Krzywe zwierciadło. Czesne. — *S. Czeczelnicki:* Na rozstajnych drogach. — *S. Reisler:* Burza nad Rzeszą niemiecką. — *H. Lukrec:* Prawda o Sowietach. — *Widz:* Otępienie. — *Henryk Rygier:* O wpływ dziennikarzy na prasę. — *Jerzy Życieński:* Bezrobotni zblisku i zdaleka. — *Stefan Kłoński:* Zwycięstwa opieki społecznej. — *Alfred Wilecki:* Przegląd gospodarczy. — *Jerzy Kornacki:* Latający Holender. — *Józef Grzelka:* Wczoraj i dziś na Parnasie polskim. — Listy do „Epoki". — Odpowiedzi redakcji.

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: WARSZAWA, UL. OKÓLNIK 11 — TEL. 285-52 — KONTO P.K.O. 26.630

REDAKTOR przyjmuje w poniedziałki, środy i piątki od 17 do 18-ej. RĘKOPISÓW nie zwraca się
PRENUMERATA kwartalnie z przesyłką zł. 6.— zagranicą kwartalnie zł. 7.50 — numer pojedyńczy 60 groszy.
OGŁOSZENIA: za wiersz 1 mm. lub jego miejsce (szer. 90 mm.) zł. 1.— w tekście. Za tekstem (szerokości 60 mm.) gr. 40

REDAKTOR I WYDAWCA: JÓZEF WASOWSKI Nr. 2707 Odbito w Zakł. Druk. W. Piekarniaka Warszawa, Ordynacka 3.